CENA ZŁ 3

Pobudka

TYGODNIK

ROK I | Łódź, dnia 23—30 grudnia 1945 r. | Nr 13-14

W wigilijny wieczór

Istnieje kilka dat w ciągu roku, do których podążamy myślą, które mają w sobie walor tradycji, które wywołują w nas uczuciowe momenty przeżyć. Świąteczne daty są chwilami odprężenia myślowego, oderwania się od codziennych spraw, związanych z kłopotami dnia, pozwalają każdemu człowiekowi uczestniczyć choćby umysłowo z najbliższymi — rodziną, miastem lub wsią rodzinną, z towarzyszami pracy i walki.

Miniona wojna i okrucieństwa okupacji hitlerowskiej wyrzuciły miliony Polaków z ich domów rodzinnych, zmuszając do tułaczki po całym świecie. Nie było obozu koncentracyjnego w Europie, w którym nie przebywaliby Polacy. Nie było folwarku i fabryki niemieckiej, gdzie pod terrorem nie pracowaliby Polacy w warunkach niewolniczych, nie było bitwy w okresie tej wojny, gdzie żołnierz polski nie krwawiłby w walce z wrogiem.

Minęło wiele lat, w czasie których świąteczne chwile trzeba było spędzać z dala od tego wszystkiego, co było drogie i bliskie. Z opowiadań tych, którzy powrócili do kraju, którzy przetrwali, z dotychczasowych drukowanych wspomnień docierają dziś do nas obrazy tęsknot. Ileż niekłamanego wzruszenia kryje się w opisach wigilijnych wieczorów, spędzonych w obozach.

Jeszcze na kilka dni przed świętami więźniowie czyszczą swoją bieliznę i ubrania z wszów. Był to jedyny dostępny im środek odświętności w wyglądzie zewnętrznym. Uprzątają skrupulatnie barak. Jeden ze zdrowszych więźniów, chodzących codziennie na roboty do lasu, przenosi w nogawce — pod groźbą prześladowań — małe drzewko wigilijne. Kiedy okrutnicy hitlerowcy zasypiają — więźniowie gromadzą się koło gałązki świerkowej. Wyciągają kromki czarnego chleba dzielą się nimi między sobą. Słowa życzeń są proste, wyrażają bowiem największą tęsknotę człowieka skazanego na zagładę, człowieka... który nie wyzbył się złudzeń. Usadowieni na pryczach małymi grupkami opowiadają o żonach, matkach, dzieciach i współtowarzyszach walki...

Iluż takich scen niezapomnianych były świadkiem wielkie przestrzenie świata. Ile łez wycisnęła groza pobytu morderców hitlerowskich w kraju, ile padłych w walce, pomordowanych na ulicach miast, po wsiach w całym kraju — było w tym dniu opłakiwanych. Łzy nasze w latach najstraszniejszych w historii niewoli nie były tylko wyrazem słabości. Łzy padały często na zaciśnięty w ręku pistolet czy granat, który dokonywał słusznego aktu walki o życie, zemsty na najokrutniejszym z wrogów.

W tym roku przypada nam święcić pierwszy wieczór wigilijny w wolnej Polsce. Nie jedna izba robotnicza czy chłopska będzie w radość z posiadanej wolności wplatać imiona tych najbliższych, którzy ginęli, którzy krwią swoją podpisali dokument naszej Niepodległości. Nie jedna rodzina budowniczych nowej Polski smucić się będzie niestety ze strat, poniesionych zdawałoby się z ręki bratniej, a jednak wrogiej, bo podnoszonej na rozkaz tych, którzy militarnie zostali pokonani w tej wojnie jako faszyści.

Wielu Polaków, trzymanych wrogą demokratycznej Polsce przemocą z dala od kraju, nie złączy się z nami bezpośrednio w bratnich słowach pojednania i zgody.

Niech tegoroczne święto odrodzenia stanie się w naszym odradzającym się życiu etapem w rozwalaniu uprzedzeń politycznych w budowie szczęśliwszego i sprawiedliwego życia. ap.



rys. A. Bieńkowski

Św. Mikołaj: — No, dzieci, czy byłyście grzeczne przez cały rok?

1938-1945

Zasiądziemy w tym roku do stołu wigilijnego, aby w atmosferze narodowej i politycznej wolności, prócz wymiany pomyślnych życzeń na przyszłość, wspomnieć całą prawdę o przebytej drodze od Bożego Narodzenia w r. 1938, ostatniego w jeszcze Niepodległej Polsce.

Większość Narodu nie posiadała wówczas świadomości, że szybko nadciągająca burza wojenna zakuje nas w kajdany niewoli na wiele lat.

Już w roku 1938 dosięgła Austrię i Czechosłowację „opiekuńcza" ręka III Rzeszy hitlerowskiej, lecz w Polsce panował nastrój krótkowzrocznej radości... Przemawiały do nas na ulicach miasta mapy „zdobytego" Zaolzia, w kinach wyświetlano filmy-aktualności „uwieczniające" manifestacje organizowane przez „Ozon" pod hasłem „wodzu prowadź nas" i wiecznie uśmiechniętego „wodza", który rozkazał „maszerować" razem z Hitlerem przeciw bratniemu narodowi czeskiemu.

Nazwisko gen. Bortnowskiego, zupełnie nieznane w kraju, stało się od sprawy Zaolzia aż nadto popularne. A „polska" polityka niosła wieści jak to polskie oddziały sprawiły łaźnię wojsku niemieckiemu, „przez omyłkę" usiłującemu zająć dworzec kolejowy w Boguminie. O uzbrojeniu naszej Armii mówiono w samych superlatywach, plotka „polska" głosiła o jakości i ilości „polskich" wynalazków wojskowych i posiadanego sprzętu wojennego, lecz trzymanych w tajemnicy wojskowej do czasu, kiedy wreszcie pokażemy co posiadamy i umiemy...

Nastroje „mocarstwowe", pobrzękiwanie szabelką, upajanie się mirażem siły okrytej tajemnicą wojskową, stwarzały stan narodowej megalomanii i nieuzasadnionej a naiwnej równocześnie pychy...

Zaledwie przekroczyliśmy próg roku 1939, jakże głębokie przeżyliśmy rozczarowania. Nagła mobilizacja mówiła najwyraźniej, że skończyły się paradne wjazdy na Zaolzie i defilady na polach mokotowskich, że to nie nowe manewry nad Niemnem nazwane „marszem na Kłajpedę". Mobilizacja oznaczała obronę przeciw wczorajszemu „przyjacielowi" z Berchtesgaden, któremu nie wystarczały już niskie ukłony Becka, on przyjaźń rozumiał po niemiecku, aby była trwała musi otrzymać Gdańsk, Pomorze i Śląsk. Dyktatura sanacyjna maszerowałaby i nadal razem z Hitlerem, gdyby zgłaszał on roszczenia i pretensje do ziem innych państw, byleby nie do Polski. Beck, Rydz, Koc i wszyscy „mężowie" stanu nie umieli ogarnąć i zrozumieć zmian dokonywujących się w Europie, toczonej przez hitlerowskiego raka od 1933 roku.

Święta Bożego Narodzenia w r. 1939 przeżywaliśmy już w niewoli. Zostaliśmy coprawda oszołomieni, ale jeszcze nie ocenialiśmy realnie katastrofy, a na tych, którzy mówili, że wojna może jednak potrwać dwa lub trzy lata spoglądano z politowaniem lub pogardą.

Setki tysięcy Polaków przeżyły te pierwsze święta w obozach i na wysiedleniu, tysiące rodzin opłakiwało śmierć swoich najbliższych lecz pozostała większość żyła złudzeniem, że za kilka miesięcy a może tygodni zakończy się wojna, jak to im wmawiano, i w co chętnie wierzyli, bowiem przyjemnie było żyć złudzeniem.

Cieszyli się Polacy w święta Bożego Narodzenia r. 1939 wiadomościami o przerwaniu linii Zygfryda, o użyciu przez aliantów gazów mrożących o szalonych bombardowaniach Niemiec przez lotnictwo angielskie. Aby przetrwać do wiosny...

W maju 1940 r. dowiedzieliśmy się, że Francuzi przerwali linię Zygfryda, natomiast Niemcy przerwali linię Maginota i Weyganda. Kapitulował Paryż... Skapitulowała Francja! Dunkierka nie schodziła ze szpalt niemieckiej prasy i z ust zwycięskich hitlerowców. Uszy puchły od hitlerowskiej wojskowej pieśni „Gegen England". Czym większa była radość Niemców tym większy smutek zapadał w serca Polaków. Upadek Francji był dla nas ciosem ogromnym. Wstrząsnął narodem polskim głębiej, niż własna klęska we wrześniu. Wielu nie mogło uwierzyć, że Francja, o sile której tyle pisano i mówiono przed wojną, której potęgę podziwialiśmy w kinach, że ta Francja, najlepsza Polski sojuszniczka została rozgromiona w ciągu sześciu tygodni. I czym szerzej komentowaliśmy klęskę Francji, tym częściej padały głosy przeciw Anglii, za jej kunktatorstwo, za prowadzenie wojny na czas, za denerwujące nas informacje radia angielskiego, że za trzy lata Anglia wyprodukuje tysiące samolotów, a za cztery lata będzie mieć więcej czołgów od Niemiec. Z przerażeniem patrzyliśmy na mapę Europy zalewaną przez brunatnych hitlerowców Szybciej traciły niepodległość Belgia, Holandia, Dania, Norwegia, Rumunia, Jugosławia, Grecja, niż zdołaliśmy pojąć katastrofę Europy.

Gdzie jest siła, co będzie zdolna przeciwstawić się potędze Niemiec? — pytano z niepokojem, w obliczu grożącej nam zagłady ze strony hitleryzmu, dyszącego nienawiścią do narodu Polskiego. Zadymiły kominy krematoriów w Majdanku i Oświęcimiu. Coraz częściej wymawiano nazwy: Dachau, Oranienburg, Mauthausen, Palmiry, z coraz większą trwogą wymawiano adresy siedzib „gestapo" coraz częściej ktoś z bliskich nie wracał do domu zagarnięty w ulicznej lub kolejowej łapance. Wzrastała również ilość przesyłek z żywnością i odzieżą wysyłanych do obozów i więzień.

Rok 1941 rozpoczął się od przesunięć wojsk niemieckich w stronę Bugu. Powszechnie mówiono, że to bynajmniej nie dla zamydlenia Anglików i nie na odpoczynek udają się niemieckie dywizje nad granicę Związku Radzieckiego. Nie brakło w społeczeństwie polskim jednak wątrobianych polityków, głoszących, że wojny z Rosją nie będzie, bowiem „oni" dobrze wiedzą o podziale Europy na określone strefy wpływów: niemiecką i rosyjską. Inni twierdzili, że wojny na wschodzie nie będzie, bo „byłoby to zbyt dobre, aby miało być prawdziwe". Każdy Polak widział i rozumiał inaczej, niż ci politycy z nieprawdziwego zdarzenia i ci panowie z II Oddziału, obawiający się, aby broń Boże naród Pol-

dokończenie na str. 3.



Gdy mi składa ktoś życzenia
W ciągu roku raz na — Gwiazdkę,
Widzę w tym, darujcie proszę,
Życzliwości tej — namiastkę.

Jeślim nie wart był pamięci
Przez dwanaście aż miesięcy —
Z jakiej racji mam uwierzyć,
Żem wart w grudni znacznie więcej?

System ten by trzeba zmienić —
Sami przecież to widzicie,
A po roku zobaczymy,
Jak się nam ułoży życie.

Niech nie tylko miesiąc grudzień
Z serca plombę życzeń zerwie —
Czy maj, gorszy lub październik,
Albo, dajmy nato, czerwiec?

Jak rok długi jak najlepiej
Życzmy sobie przyjaciele:
Zdrowia, szczęścia, pomyślności —
Tego nigdy nie zawiele!

Drzazgi

2.500 — 40.000 złotych

Dyrektor Grand Hotelu w Łodzi, zarabia „oficjalnie" 2.500 zł. miesięcznie. Natomiast do skromnej pensji, otrzymuje szereg dodatków i to bynajmniej już nie skromnych, a więc:

1% od obrotu, na reprezentację;

15% od dodatku inkasowanego za obsługę,

bezpłatne mieszkanie 2 pokoje i bezpłatne całodzienne utrzymanie.

Po dokładnym obliczeniu wszystkich tych pozycji, okazuje się, że pan dyrektor zarabia nie 2.500 zł. miesięcznie a ponad 40.000 złotych miesięcznie

W tymże Grand Hotelu mieści się kawiarnia „Syrena". Kierowniczka kawiarni otrzymuje 5% od wpływów brutto i całodzienne utrzymanie. Te „skromne" 5% dają miesięcznie ponad 30.000 zł. pensji.

Grand Ho. kawiarnia „Syrena" znajdują się pod zarządem miejskim. Sądzimy, że Prezydent miasta i dyrektor Zarządu Miejskiego wyjaśnią opinii publicznej czym się kierowały władze miejskie, ustalając tak wysokie pobory dla pewnych osób.

Najmniej dla Polski

Mówimy dość często o towarach i pomocy UNRRA dla Polski. Czy wiecie, jak wygląda ta pomoc w cyfrach?

Pomoc ta wynosi dla Polski 4, dla Jugosławii 12 a dla Czechosłowacji 18 dolarów na obywatela.

Jesteśmy krajem bodajże najbardziej zniszczonym przez wojnę i okupację hitlerowską. Straciliśmy 7 milionów obywateli. Polacy walczyli pod Tobrukiem, Monte Casino i pod Dunkierką, osłaniając odwrót Anglików. W czasie wojny słuchaliśmy deklamacji o bohaterstwie Polski i Polaków.

A dziś? Cyfry pomocy UNRRA dla Polski przemawiają do nas najdobitniej.

Zapałki

Aby obniżyć ceny, Rząd rzucił na rynek wewnętrzny kilkadziesiąt milionów pudełek zapałek po 1 zł. Ukazały się w prasie informacje i ogłoszenia, jednak trudno jest nabyć zapałki po cenie ustalonej przez władze.

Czy rząd wykonał to co ogłosił? Tak. Zapałki rozprowadzono po całym kraju w cenie 1 zł. wartości sprzedażnej. I co dalej? Zapałki w wolnym handlu kosztują nadal od 6 do 10 zł.

Dlaczego?

Skoro cena pudełka zapałek na wolnym rynku wynosi od 6 do 10 zł., spekulanci zwęszyli szybko dobry interes. Zapałki powędrowały na wolny rynek. Spekulanci i pośrednicy zarobili w ciągu paru dni kilkadziesiąt milionów, okradając obywateli i Państwo.

Oto przykład:

Jakiś punkt rozdzielczy czy sprzedażny otrzymał... 10.000 pudełek zapałek. Sprzedawca włożył do kasy 10.000 zł. i uśmiecha się, twierdząc, że zapałki już rozsprzedał. Natomiast całą ilość odsprzedaje na wolny rynek, po 5 zł. za pudełko, a więc zarabia szybko 40.000 zł. sprzedawcy zarabiają dalsze 40 lub 50.000 tysięcy zł.

Czy nie lepiej byłoby, gdyby z takim trudem zgromadzona przez Państwo ilość zapałek dostała się wyłącznie do rąk ludzi pracy, po 1 zł., a wówczas i na wolnym rynku cena uległaby obniżce.

Czy ciągle hieny spekulantów będą zarabiać na Państwie i ludziach pracy?

1938–1945

ski nie wiązał nadziei na swe narodowe wyzwolenie, w jakiejkolwiek bądź formie, ze Związkiem Radzieckim.

Tymczasem 21 czerwca 1941 r. wzdłuż całej granicy Związku Radzieckiego ryknęły niemieckie armaty.

Z orędzia Hitlera dowiedzieliśmy się, że wojna była jednak przygotowywana i że do tej wojny gotował się również Związek Radziecki. Hitler uprzedził tylko uderzenie Związku Radzieckiego. Wojna ze Związkiem Radzieckim ma być stoczona na śmierć i życie.

Przebieg działań wojennych na ziemiach Związku Radzieckiego, śledziliśmy z ogromnym niepokojem. Powiedzmy sobie dziś prawdę, że w r. 1941 mieliśmy powszechne przekonanie, iż jeśli Związek Radziecki zostałby pokonany, to nie ujrzymy szybko brzasku wolności, bowiem w Europie nie będzie już żadnej siły mogącej się zmierzyć z Hitlerem. Z tym większą trwogą spoglądaliśmy na linie frontu, który wżynał się coraz głębiej w centrum Związku Radzieckiego i gdy nie tylko Mińsk, Kijów, Charków, Odessa, Krym, część Kaukazu, ale i kraj nadwołżański, przedmieścia Moskwy i Leningradu były już w rękach niemieckich.

Jak na urągowisko karmiono społeczeństwo polskie strategiczną kombinacją II Oddziału, że wszystko odbywa się tak, jak zostało przewidziane. Związek Radziecki zostanie rozbity, ale i Niemcy wykrwawią na wschodzie, a wówczas Anglia rozpocznie prawdziwą wojnę, bowiem nic nie traci, a ciągle się zbroi. Gdy od Stalingradu karta wojny się odwróciła, gdy niemieckie symbole zwycięstwa stały się śmiesznym rekwizytem propagandy hitlerowskiej, byli tacy Polacy, którzy martwili się, ażeby tylko Rosja nie przepędziła Niemców zbyt daleko. Uporczywe wezwania Związku Radzieckiego do Anglii i Ameryki o stworzenie drugiego frontu trafiały w próżnię. Pozostawiony sam na sam z militarną potęgą Niemiec, dla których pracował przemysł wojenny prawie całej Europy i miliony robotników różnych narodowości, krwawił Związek Radziecki milionowymi ofiarami. Nie mogliśmy uznać za „drugi front" walk w Libii, gdzie walczyła śmiesznie niska ilość dywizji niemieckich i angielskich. Dopiero w r. 1944, gdy Związek Radziecki nieustannie pędził Niemców na zachód, anglosasi „lądowali" we Włoszech i Francji. Zdobycie Berlina przez Armię Czerwoną jest symbolem wkładu Związku Radzieckiego w rozgromienie Hitlerowskich Niemiec. „Wmaszerowanie" anglosasów do zdobytego przez Armię Czerwoną Berlina, posiada swoją wymowę...

H. W.



rys. A. Bieńkowski

— Wiesz Feluś, ja tylko tak lubię jeździć, bo 3 zł. za bilet nie płacę.

EKSPERYMENT
którego powtarzać nie należy

Zagadnienie przejęcia w ręce państwa całego mienia poniemieckiego, a również mienia opuszczonego przez prawnych jego właścicieli, obywateli polskich — jest problemem niezmiernie poważnym.

Niezależnie od gospodarczych i społecznych tendencji, przenikających naszą powojenną rzeczywistość, chodzi tu o zapobieżenie chaosowi ekonomicznemu, o maksymalne wykorzystanie wszelkich, w Polsce znajdujących się przedsiębiorstw, o statystyczne, dla dalszych planów konieczne ujęcie całego majątku narodowego.

Bądźmy szczerzy — waga tego problemu nie została należycie doceniona. Już od początku w akcji obejmowania wszelkiego typu majątków pokutowała wielotorowość. Zanim jeszcze wydana została ustawa o majątkach porzuconych i opuszczonych, już wiele wszelkiego typu przedsiębiorstw znalazło się w rękach urzędów i instytucji państwowych i społecznych. Grupy operacyjne — specjalnie na ziemiach zachodnich — obejmowały majątek poniemiecki systemem raczej partyznackim, aniżeli buchalteryjnym. Wydana wreszcie ustawa o majątkach porzuconych i opuszczonych i w jej ramach wyznaczony Tymczasowy Zarząd Państwowy mający przejąć, zabezpieczyć i zarządzać tymi majątkami — nie wiele zmieniły w już istniejącym chaosie.

Różne były przyczyny tego stanu rzeczy. Nie najostatniejszą i ta, że na ogół instytucje, wszedłszy już raz w posiadanie jakiegoś majątku, nie kwapiły się z przekazaniem go T.Z.P. Ten zaś przy szczupłym i niefachowym personelu, (a fachowców trzeba było mieć z przeróżnych dziedzin), nie umiał sobie dać rady ze swymi ustawowymi obowiązkami, tym bardziej, że obowiązki te i sposób ich wypełniania zostały przez ustawodawcę określone tylko ogólnie, a rozporządzenie wykonawcze nigdy ich nie sprecyzowało.

T.Z.P. — instytucja wybitnie niepopularna wśród społeczeństwa, a to z powodu zbytniej względności lub — na zmianę — bezwzględności w stosunku do „reprywatyzujących", lub chcących skorzystać z mienia poniemieckiego, nie była również popularna i w urzędach, z którymi miała styczność. T.Z.P. był ledwie tolerowany.

Niezrozumienie wśród urzędników istotnego celu, dla którego T.Z.P. powstał, niechęć społeczeństwa, brak fachowego personelu w samym T.Z.P., niejasne sformułowanie w ustawie jego praw, obowiązków oraz metod ich zastosowania w życiu, a wreszcie niezaradność samej instytucji — to wszystko doprowadziło do tego, że cele, które przyświecały ustawodawcy, w dużej mierze nie zostały wykonane.

Na dobrą sprawę, nowopowstały Główny Urząd Planowania otrzymał z Głównego Urzędu T.Z.P. nie wiele danych, dotyczących ilości, jakości i wartości mienia zabezpieczonego w Polsce. Wątpić należy, czy dane szczegółowe, takie jakie dla celów planowania są potrzebne, otrzyma również z tych urzędów państwowych i instytucji społecznych, które częściowo pozabezpieczały majątki poniemieckie na swoją rzecz.

Ale nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że wskutek braku opieki poważna część mienia poniemieckiego została wręcz „rozszabrowana", że się ją „szabruje" jeszcze i dziś. I to, że dużej jeszcze wartości mienie poniemieckie, które dotąd nie zostało rozkradzione, niszczeje bez opieki. Prasa o wielu takich wypadkach donosiła.

Ten stan rzeczy utrzymany być nie może. Na Radzie Ministrów rozpatrywany jest projekt ustawy o mieniu poniemieckim opuszczonym. Projekt ten jednak jak wynikało z referatów na zjeździe dyrektorów T.Z.P. — częściowo tylko naprawia błędy ustawy o majątkach porzuconych i opuszczonych. Nowa instytucja stworzona zamiast T.Z.P. — Główny Urząd Likwidacyjny — zajmować się ma nie zarządem, lecz jedynie ujęciem i zbilansowaniem całego majątku, dotąd nie zabezpieczonego i majątek ten ma przekazywać pod zarząd państwowy, miejski, lub społeczny względnie oddawać go w posiadanie osób prywatnych do tego uprawnionych. To słuszne nastawienie znowu jednak rozpływa się w ogólnikach i w odsyłaczach do rozporządzenia wykonawczego.

Doświadczenie z ustawą o T.Z.P. i z rozporządzeniem wykonawczym do niej, które się nigdy nie ukazało, jest zbyt przykre, abyśmy dalej chcieli i mogli eksperymentować. Rada Ministrów weźmie to chyba pod uwagę.

Rudolf Lessel

Demokratyczna gwiazdka

Na marginesie dekretu o sądach doraźnych.

Każdy ma swoją gwiazdkę, o nikim się nie zapomina w naszym ustroju:

Specjalnie tegoroczna gwiazdka obfituje w wiele ciekawych podarunków. Jedni dostają od krewnych, inni od znajomych i przyjaciół, jeszcze inni liczą na tanie paczki z UNRRA, które mają być im dostawiane po ryczałtowej cenie 300. — złotych (i to tylko dla szczęśliwych posiadaczy kartek I kategorii), ale są tacy o których nie myślał nikt. Nie wchodząc w meritum sprawy, nie zastanawiając się nad pozycją społeczną tych których nie wzięto w rachubę, należy stwierdzić, że Rząd nasz wyrównuje wszystkie krzywdy. Myśli nawet o takich, o których dotąd nikt się nie zatroszczył.

Dzięki temu otrzymali doskonałą, bardzo efektowną i zasłużoną gwiazdkę złodzieje mienia publicznego, szabrownicy, łapówkarze, mordercy, bandyci, rabusie, skrytobójcy i inni mąciciele naszego życia publicznego. W myśl starej zasady, że darowanemu koniowi w zęby nie należy patrzeć, przypuszczamy, że zainteresowani, obdzieleni obywatele, nie będą podejmować dyskusji ze swoim dobrodziejem. Tym bardziej, że o taki podarunek dla nich już oddawna dopominali się inni, tacy którzy spokojnie pracując, oddają swoje siły, zapał i energie, dla ugruntowania ładu, porządku i spokoju w swoim kraju.

Dekret o sądach doraźnych, który zaczyna obowiązywać u nas, jest wynikiem żądań całego społeczeństwa pragnącego już zapomnieć o wszystkich koszmarach ostatniej wojny i raz na zawsze usunąć z areny naszego życia tych, którzy swoją zbrodniczą działalnością podrywają autorytet państwa i hańbią dobre imię jego obywateli. Każdy zbrodniarz zabierający się obecnie do przestępstwa będzie miał przynajmniej pewność, że przy pierwszym powinięciu się nogi będzie „obsłużony" należycie. Nie będzie długo czekał na przewód sądowy, wyrok będzie sprawiedliwy i szybki, kara dotkliwa i niepodlegająca żadnej apelacji.

Wszyscy specjaliści od lekkiego zarobku, pasożyci i zawodowi kryminaliści, którzy dotąd uprawiali swój proceder licząc na to, że kraj pozostaje jeszcze ciągle w odmętach zgnilizny moralnej wywołanej długoletnią okupacją i deprawowaniem charakterów przez Niemców, srodze się zawiedli. A ci którzy dotąd bezczynnie się przypatrywali różnego rodzaju machinacjom i oszustwom, albo wzruszaniem ramion reagowali na wszelaką nieprawość, zabiorą się do walki z bandytyzmem w każdej jego formie i odmianie. Powoli znikać zaczną z horyzontu i ci, którzy zapomocą łapówek potrafili przeprowadzać wszystko. Skończą się a w każdym razie zmniejszy się napewno wydatnie ilość takich gagatków, którzy z transportów kolejowych czy samochodowych zabierali sobie napozór niewinnie materiały czy artykuły powierzone pieczy państwowej.

Niesumienni pracownicy, którzy wcisnęli się w nasze życie publiczne, aby celowo je dezorganizować i niszczyć, przestaną wykorzystywać swoje uprawnienia dla niskich, własnych interesów albo osobistych porachunków.

Po pierwszych sprawiedliwych, surowych wyrokach przekonają się męty społeczne i zgraje nikczemnych burzycieli spokoju, że to nie są przelewki, że zabrano się do skóry przestępców radykalnie i skutecznie. Kierując się zwyczajną logiką i rozsądkiem, oraz uzasadnioną bojaźnią przed zasłużoną karą, poszukają sobie dotychczasowi mistrze łomów kastetów i wytrychów bardziej spokojnego, solidnego zajęcia. Rzecz jasna za wyjątkiem tych którzy ponad wolność i pracę przenoszą więzienie i stryczek.

Pocisk.



rys. K. Baranieckl.
Sądy doraźne — gwiazdka dla szabrowników.

REFLEKSJE

W roku 1939, pozostawiano przy stole wigilijnym jedno nakrycie wolne dla polskiego żołnierza...

Po sześciu latach, wiele miejsc przy stole wigilijnym będzie niezajętych... Ubyło z nas 7 milionów ludzi, a w całej Europie około 40 milionów.

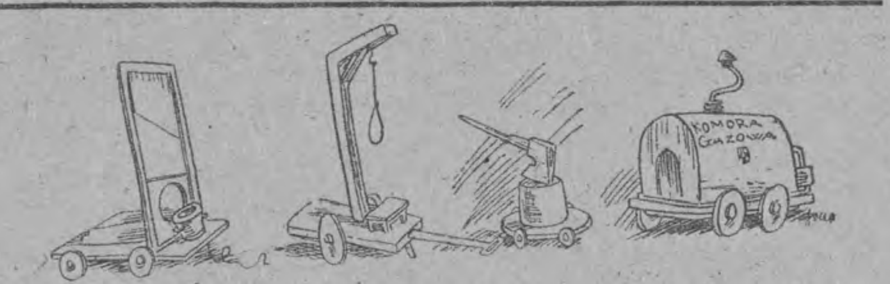
Przeżyliśmy tak potworną okupację, że nie jesteśmy zdolni uwierzyć, aby ludzie mogli to wszystko przetrwać. Czy wszyscy Polacy zachowali godność osobistą i dumę narodową? Można usprawiedliwić wiele wypadków ludzkiej słabości rozmaitymi okolicznościami, lecz nie wolno twierdzić, że wszyscy Polacy zachowali się tak jak prawdziwi synowie polskiej Ojczyzny.

Czy Polacy, którzy zginęli w obozach i więzieniach lub wrócili z nich prawie cudem ocaleni, lub walczyli w partyzanckich oddziałach bądź przekradali się do Wojska Polskiego, i Ci co wiązali nici konspiracyjnej działalności, i ci co zachowywali godność Polaka w każdej sytuacji, i ci co przekradali się do ghetta, aby wzmocnić walkę żydów z narodami hitlerowskimi, jak również masy stosujące „tempo żółwie", narażeni na surowe represje, mają mieć w Polsce te same prawa, jak i „Volkspolacy", co złamali przysięgę i ubrani w granatowe mundury służyli III Rzeszy, trudnili się donosicielstwem lub pisywali anonimy, donosy przeciwko braciom Polakom, twierdzili, że „dla nich wojna może trwać jeszcze 10 lat" ponieważ dorabiali się fortun.

Czy dzisiaj, mają mieć jednakowe prawa w Polsce: świat pracy i spekulanci powojenni. Ludzie pracy, cierpiący niedostatek ale z wiarą w lepszą przyszłość swym mozolnym trudem odbudowujący Polskę ze zniszczeń wojennych i zarłe karły, mające pieniędzy trzos, nabywcy towarów i artykułów niedostępnych dla człowieka pracy w dodatku szydzący z człowieka pracy, że ma „demokrację".

Mamy i mieć będziemy demokrację. Ale wiemy i to że cierpliwość nasza ma granice ludzkiej wytrwałości. Dobierzemy się do gniazd pasożytniczych elementów, już dziś nabywających chętnie dolary i funty szterlingi, złoto i biżuterię, liczących na nową wojnę....

W.



Podarki norymberskie. rys. H. Grus.

Gdy choinka kosztuje 300 zł.



Przepraszam obywatelu — czy w tym lesie żyją żubry?

POMÓŻMY NASZYM BRACIOM NA MAZURACH

(m. k.) Na ziemiach Warmii leży miasto Kwidzyn — dawniejsze Marienwerder. Pamiętamy je jeszcze z 1920 r., w którym to tak sromotnie przegraliśmy tu w plebiscycie na Mazurach. Pomimo iż właśnie tu w Warmii był największy procent ludności mówiącej po polsku plebiscyt przegraliśmy. Dziś wiemy, już dlaczego. Przegraliśmy nie dlatego, żeby ludność Warmii była niemiecka, ale dzięki wadliwej polityce naszego rządu, dzięki błędom i fatalnej konfiguracji politycznej.

Błędy te mszczą się do dnia dzisiejszego. Jakże często słyszymy słowa narzekania pod adresem Mazurów.

Spotykam młodego rolnika z Polski Centralnej. — Oj te Mazury — wzdycha — też to gorsi od Niemców nieraz. Ja by ta ich wszystkich wysiedlił z Polski i już — kończy rozgniewany, ale my wiemy że sprawa ta nie jest tak prosta jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Sprawa mazurska jest zbyt skomplikowana i bolesna. Tu trzeba cierpliwie i mądrze leczyć te biedne, chore, polskie serce ludności mazurskiej — przykładem i opieką rozpalić w nich miłość do swego macierzystego kraju.

Niemcy z Wrocławia, Gdyni czy Gdańska uśmiechają się do nas obleśnie i wrzeszczą jak mogą najgłośniej: „Hitler kaput! 2 „Heil Polen" — Mazurzy patrzą na nas z żalem spod zsuniętych brwi, ale my we wzroku ich dostrzegamy Polskę. Musimy pomóc tym ludziom skruszyć wał uprzedzeń, którym kilkudziesięcioletnia wroga propaganda oddzieliła ich od Polski.

Jeśli chodzi o gospodarczą stronę sprawy to ta przedstawia się wprost katastrofalnie. Wsie, miasta, pola i zabudowania stoją przeważnie puste. Wszędzie brak ludzi. Przybyło tu wprawdzie trochę Polaków z środkowej Polski, ale to wszystko jeszcze za mało.

Przejeżdżamy przez śliczne miasteczko Kwidzyn. Sklepy pozabijane deskami, na ulicach ruch minimalny. Iluż ludzi znalazło by tu chleb i pracę... myślimy, patrząc na puste mieszkania, domy i sklepy.

Warmia, kraina jezior, obfitych w ryby, lasów pełnych zwierzyny, pustych wsi i miast wzywa Polaków. Mazurzy, rozżaleni zniszczeniem i opustoszeniem, jakie pozostawiła po sobie wojna, czekają na naszą pomoc, na nasze ręce do pracy i serca.

Budujemy

Nasi korespondenci

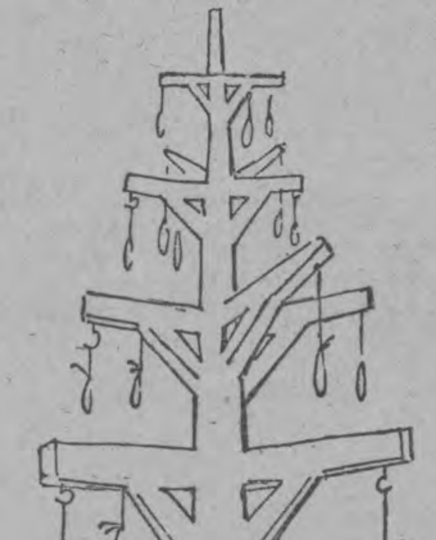
MIESZKANIA NA DOLNYM ŚLĄSKU

(d. l.) Sprawa mieszkaniowa nie tylko w Łodzi jest problemem. Wczoraj wróciłem dopiero ze Śląska gdzie prawie tak samo jak u nas ludzie nocują w przygodnych hotelikach i u znajomych nie mogąc się doczekać przydziału na mieszkanie. Proszę nie uśmiechać się—tak jest w istocie. Widziałem i rozmawiałem z dziesiątkami robotników, którzy daremnie czekają na mieszkania.

W czym leży przyczyna tego? — postaram się sprawę tę wyjaśnić. Otóż każdy zjeżdżający indywidualnie osadnik, kupiec czy inteligent znajduje tu mieszkanie stosunkowo dość szybko, mieszkań bowiem tu nie brak, trzeba tylko pochodzić, poszukać, a potem zgłosić w Urzędzie Kwaterunkowym. Ale cóż ma zrobić transport, składający się z 1000 np. robotników? Czy ci ludzie zamiast pracy też mają rozpocząć wędrówkę po zakamarkach miast w poszukiwaniu mieszkania?

Nie. Idą do fabryk, biur, warsztatów i... dlatego wciąż są bezdomni. Tak dalej być nie może. Urząd Kwaterunkowy powinien przede wszystkim przydzielać mieszkania, całe bloki domów dla transportów robotniczych, by ludzi tych odpowiednim przyjęciem i stworzeniem odpowiednich warunków zobowiązać do wydajnej i stałej pracy na tych ziemiach.

Największa wartość Dolnego Śląska tkwi właśnie w ogromnie rozbudowanym przemyśle tych ziem. Dla orientacji weźmy pod uwagę, iż przed wojną Dolny Śląsk partycypował w handlu zagranicznym 0,8%, podczas gdy cała Polska 1%. Nie wolno nam o tym zapominać i dlatego aby przywrócić ziemiom Śląska Dolnego całkowitą prężność gospodarczą, trzeba osiedlić jak najszersze rzesze robotników na tych ziemiach. A warunkiem zasadniczym i pierwszym dla tych ludzi są właśnie mieszkania.



Rys. K. Baraniecki.
Choinka norymberska.

„PAŁAC FÜHRERA" w POZNANIU

Na zamku poznańskim, w apartamentach II piętra obrał sobie Hitler swoją kwaterę. To tu właśnie, wśród tych ścian padały zbrodnicze rozkazy mordowania ludności polskiej, to tu Hitler wydał w 1940 r. swój bestialski wyrok, powtarzany potem przez wszystkich krwawych Gauleiterów i Gubernatorów: Polen muss man ausrotten! (Polacy muszą być zniszczeni). Ale prawda dziejowa triumfuje nieraz po wiekach nawet—tym razem po 6-ciu prawie latach tyranii okupanta powstały ciemiężone narody i na murach swych zrujnowanych miast wypisały czerwienią zwycięskie słowo „Wolność".

W „pałacu Hitlera" w Poznaniu mieści się punkt przesyłkowy Wojska Polskiego. Za biurkiem, tym samym może, przy którym Hitler podpisywał swe szaleńcze rozkazy — siedzi polski oficer — prowadząc ewidencję zdemobilizowanych żołnierzy.

W reszcie apartamentów mieści się izba chorych, świetlica, biblioteka, kasyno itp.

WROCŁAW MA JUŻ WODĘ I ŚWIATŁO

Mieszkańcy Wrocławia odetchnęli z ulgą. Nareszcie jest woda, gaz i światło. W związku z tym ruszył też i przemysł.

POLSKĘ



z kraju donoszą nam:

W samym Wrocławiu pracują już dwie fabryki: Fabryka wagonów, zatrudniająca przeszło 1000 robotników, oraz Fabryka Wodomierzy (dawniej Mainecke). Obie fabryki mają wszystko przygotowane do pełnej produkcji, brak im tylko sił fachowych, ostatnio jednak można zanotować pewną poprawę pod tym względem.

NIEMCY OPUSZCZAJĄ DOLNY ŚLĄSK

W najbliższym czasie 1.200.000 Niemców opuści Dolny Śląsk. Z powodu trudności transportowych akcja ta prowadzona była dotychczas w zbyt powolnym tempie. Ostatnio jednak Władze Radzieckie zobowiązały się przyjąć codziennie 10 pociągów z repetriantami, co wybitnie odciąży ruch repatriacyjnych na naszych kolejach. Jest więc nadzieja, że w niedługim czasie prastare ziemie Śląska zostaną zupełnie oczyszczone z wszelkich elementów niemczyzny, otwierając tym samym nowe możliwości gospodarcze dla ludności polskiej.



Żłobek



Rys. H. Grus.

Żłób

W SZCZECINIE

(s. l.) Szczecin nabiera coraz bardziej charakteru miasta polskiego. Początkowa rezerwa ludności miast Polski centralnej co do osadnictwa na prapolskich ziemiach szczecińskich minęła i dziś na ulicach miasta słychać już przeważnie mowę polską, a na szyldach sklepów i instytucji coraz więcej pojawia się polskich nazwisk. Życie społeczne i handlowe skupia się w rękach Polaków coraz bardziej. Przynosi to obopólne korzyści, tak miastu jak i jego mieszkańcom. Szczecin bowiem jako jedyny nasz port rzeczno-morski rozwija dla nas nieograniczone możliwości. Aby zobrazować możliwości portowe Szczecina podajemy kilka cyfr z ostatniego okresu przedwojennego. Szczecin rozwój swój portowy zawdzięcza rzece Odrze. Przed wojną port w Kozlu (w górze Odry) ładował 10 mil. ton węgla rocznie, z którego do portu w Szczecinie dochodziło 3 mil. ton. Transport do portu wodą i koleją przedstawiał się w stosunku 6:4. Obecnie wobec dużego zniszczenia Gdańska i Gdyni i wskutek trudności transportu kolejowego port szczeciński odgrywa ogromnie ważną rolę. Odra jest już teraz dostępna dla ruchu barek i w niedługim czasie może być całkowicie doprowadzona do porządku dla żeglugi większych statków, trzeba tylko sprowadzić rzeczny tabor Odry znajdujący się na Zachodzie oraz wydobyć zatopione w rzece statki. (ok. 300 sztuk).

W związku z tymi sprawami odbyło się ostatnio w Szczecinie pierwsze posiedzenie w Zarządzie Miejskim dla spraw żeglugi rzeczno-morskiej przy współudziale delegata Rządu inż. Kwiatkowskiego. Postanowiono powołać do życia Urząd Morski w Szczecinie, któryby czuwał nad rozwinięciem sprawności i zwiększaniem tempa pracy w porcie szczecińskim.

Trzeba zerwać z przeszłością

Było to za czasów okupacji.

Przebywając czas jakiś w małym miasteczku, prawie osadzie na terenach byłego „Warthelandu" mieszkałem parę dni u znajomego. Prowadził on za podłą pensję sklep, który mu — jako Polakowi — swego czasu wraz z towarem i kasą zabrano.

— Słuchaj — rzekł któregoś dnia mój znajomy. — Możebyś poszedł ze mną do takiego „Amtu", chcę załatwić sprawę powiększenia przydziałów na sklep. Zobaczysz, jak się tu załatwia.

Poszedłem.

Urzędowanie było bardzo proste.

Najpierw — jeszcze przed wyjściem — znajomy opchnął sobie czymś dobrze kieszenie.

Potem poszło, jak w pantominie. Ktoś kogoś wywołał, ktoś z kimś skrycie szeptał, ktoś zaklinał się, że „niestety", „pan rozumie, ja najchętniej, ale" ktoś coś komuś podawał, z rączki do rączki, ktoś prędko schował coś do kieszeni — jednej, drugiej, oglądając się na boki („Ależ, proszę pana, naprawdę, nie wiem czy mi wypada"...), ktoś komuś podał rękę z głośnym klaśnięciem i...

Sprawa została załatwiona pomyślnie.

Długo potem prześladowała mnie ta scena. Zastanawiałem się nad tym, czy ci ludzie, przyzwyczaiwszy się do takich warunków, potrafią się przestawić, gdy będzie wolne Państwo Polskie? Czy nie wejdzie im to w krew, nie stanie się nałogiem?

Dzisiaj otrzymuję na to pytanie odpowiedź. Odpowiedź niestety raczej przykrą, raczej — co do wielu — potwierdzającą moje (i zapewne nie tylko moje) obawy. Po wielu urzędach słyszy się te same szepty, widzi się te same wywoływanie. Dalszy ciąg to czystki, które władze musiały przeprowadzić w kilku już urzędach.

Tak, kochani, to trudno. Trzeba białe z czasów okupacji zmienić na czarne i odwrotnie. Można było się tłumaczyć, że dawniej uderzało się w system gospodarczy okupanta, że to był pośredni — choć nie z ideowych pobudek wykonany — sabotaż etc. etc. Dzisiaj kradzież jest znów po prostu kradzieżą, defraudacja — defraudacją, łapownictwo — łapownictwem, a sabotaż jednym z najbardziej karygodnych występków — wszystkie zaś razem — to drzewka z ogrodu Kodeksu Karnego.

Ci, którzy robili to koniunkturalnie, muszą z przeszłością zerwać, ci zaś, którym to weszło w krew i nie potrafią się odzwyczaić, znajdą się nagle i niespodziewanie dla siebie poza nawiasem społeczeństwa.

W. L. Brudziński.



OCZY NA ŚWIAT



W Moskwie obradują

Zainteresowanie ogólne skupia się dookoła konferencji, jaka toczy się w Moskwie między min. Spraw Zagr. W. Brytanii, Bevinem, sekretarzem Stanu USA, Byrnesem i komisarzem do Spraw Ludowych ZSRR, Molotowem. Kataklizm wojny tak zatrząsł światem, że jest koniecznością uzgadniać myśl największych mocarstw w trosce o ugruntowanie pokoju i zaleczenie ran zadanych ostatnio ludzkości. Konferencja w Jałcie przewiduje podobne konsultacje co trzy miesiące. Toczące się obecnie narady w Moskwie były więc przewidziane ustaloną koleją rzeczy w Krymie, ale nadto posiadają specjalną wymowę. Zbyt dużo nagromadziło się ostatnio nieufności w polityce zagranicznej; opinia czuła się zaniepokojona zerwaniem rozmów ministerialnych w Londynie, ludziom małodusznym i reakcyjnym kretom dawało to powód do niewłaściwej, plotkarskiej kampanii. Rozmowy w Moskwie kładą kres temu wszystkiemu, mówią jasno, że spekulowanie na chwilowych trudnościach i zrozumiałych rozbieżnościach jest nonsensem. Cały świat pragnie pokoju i pokój musi być ugruntowany. Min. Bevin zabierając głos przed mikrofonem w Moskwie, zaznaczył wyraźnie, że „mająca się odbyć konferencja przyczyni się do dalszego zacieśnienia węzłów przyjaźni między naszymi narodami i dopomoże do utrwalenia pokoju i dobrobytu". Wpływowy organ opinii amerykańskiej dziennik „New York Times" wyraża przeświadczenie, że przedstawiciele trzech mocarstw mogą „dojść do porozumienia w tych sprawach które doprowadziły do nieporozumienia w Londynie, a szczególnie w sprawie energii atomowej". Formalnie ostatnia konferencja 5 w Londynie rozbiła się o to, kto ma decydować, czy pięć mocarstw (pogląd anglosaski), czy wielka trójka (ZSRR, USA, W. Brytania) z każdorazowym udziałem państwa zainteresowanego w rozmowach (pogląd radziecki). Że obecnie rozmowy odbywają się tylko w gronie trzech mocarstw, dowód to zwycięstwa koncepcji ZSRR.

O czym będzie traktowała konferencja? Energia atomowa, uznanie rządów Rumunii i Bulgarii przez USA i W. Brytanię, sytuacja na Dalekim Wschodzie, niepokoje w Iranie, stosunek ZSRR do Turcji i związana z tym sprawa Dardanell i rewindykacja okręgów Kars i Ardżan przez ZSRR, sprawa traktatów pokojowych z satelitami osi i wreszcie zagadnienie scentralizowanego rządu Niemiec — oto szeroki wachlarz pilnych zagadnień politycznych o charakterze międzynarodowym, zagadnień, które rozstrząsane będą w Moskwie. Ministrowie „wielkiej trójki" obradują, cały świat z napiętą uwagą śledzi tok rozmów. Klasa pracująca, która tyle ofiar i bohaterstwa złożyła na ołtarzu powszechnego pokoju i społecznej sprawiedliwości, wie, że kwestie sporne w polityce zagranicznej muszą być usunięte, że nieufność musi być przełamana i powszechny pokój i triumf demokracji powinien znaleźć trwały grunt.

Centralny rząd w Niemczech

Na forum polityki wielkich mocarstw rozważana jest obecnie sprawa, która powinna obudzić jak największą czujność Polski: Niemcy mają być scalone pod względem administracyjnym i mają otrzymać własny rząd centralny w Berlinie. Projekt ten lansują USA, ZSRR i W. Brytania. Specjalny wysłannik Ameryki, Price, badając sytuację pokonanej Rzeszy, ocenił ją jako katastrofalną. „Spowodować to może marzenia Niemców o nowym Hitlerze". Zdaniem USA, trzeba dać Niemcom rząd centralny i lepsze warunki do życia, jeśli się chce pozyskać Rzeszę do pokojowej współpracy. Czy jednak taka łagodna taktyka da rezultat? Czy odrodzenie administracyjne i gospodarcze Niemiec nie pobudzi pruskiego imperializmu? Na te pytania odpowiada gwałtownie opinia francuska. Gen. de Gaulle zgłosił stanowczy sprzeciw, widząc w projekcie centralizacji Niemiec śmiertelne niebezpieczeństwo dla Francji. De Gaulle zażądał też oderwania od Rzeszy okręgów przemysłowych Nadrenii i Zagłębia Ruhry, które zawsze mogą się stać kuźnią zbrojeń. Niestety, USA oświadczyła, że urzeczywistni projekt centralnego rządu Niemiec, pomimo sprzeciwu Francji. Jaka szkoda, że USA nie leży u boku Niemiec, że nie doświadczyła germańskiej metody podboju, grabieży i niszczenia! Wtedy by może amerykańscy mężowie stanu zrozumieli, że nie ślepa nienawiść przemawia przez Francję i Polskę, lecz wzgląd na bezpieczeństwo własne. Doświadczenia ostatnie zostały tak drogo okupione, że byłoby karygodną lekkomyślnością przechodzić do porządku dziennego nad hitlerowską przeszłością obecnej Rzeszy. Angielski mąż stanu, słynny przeciwnik hitleryzmu, lord Vansittart, powiedział niedawno, że „embrion rządu centralnego (w Niemczech) jest niebezpieczeństwem, które może kosztować nową wojnę". Narody sąsiadujące z Rzeszą, baczność!

Normalizacja życia w Polsce

Opinia klasy pracującej z wielką ulgą przyjęła do wiadomości fakt wprowadzenia w Polsce z dniem 17 grudnia br. sądów doraźnych. Nareszcie! — powie robotnik, który dla dobra odbudowy Państwa stoi dzień w dzień przy warsztatach, a widzi jak plenią się trutnie i szabrownicy. Nareszcie! — zawoła każdy uczciwy człowiek w Polsce, który nie szczędzi swojej pracy dla podźwignięcia ojczyzny z ruin, a spostrzega jak rozpycha się spekulacja, sabotaż i kradzież. Dość! krzyknie nie jeden, który nie szczędząc oczu, pracuje do zmierzchu, a nie może na noc spokojnie wrócić do domu, bo go napadnie rozwielmożnione bandyctwo i na golaka puści. Już na prawdę dość! W obronie porządku i ładu wprowadzone sądy doraźne normalizują życie w Polsce. Ciała takie w składzie jednego sędziego i dwóch ławników, wybierane przez prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, sądzą natychmiast (włącznie do kary śmierci) rozboje, gwałty, sabotaż, kradzieże, spekulacje i inne przestępstwa, godzące w dobro życia w Polsce. Klasa pracująca oczekuje po tych sądach, że wyplenią zło w Polsce ręką bezwzględnie surową i twardą. Demokracja ludowa dość długo apelowała do uczuć ludzkich tam, gdzie napotykała objawy zdziczenia moralnego i bandytyzmu. Jeśli wyrzutki społeczeństwa mniemały, że było to oznaką słabości — jakże się srodze zawiodą! Sądy doraźne będą działać bezwzględnością. Demokracja ludowa w trosce o odbudowę Polski nie będzie się wahać. Wszelkie przeszkody na drodze historycznego pochodu klasy robotniczej zostaną z przykładną surowością usunięte.

G. T.

Angielskie pożegnanie z bronią

(Korespondencja własna „Poudki")

Londyn, w grudniu.

Anglicy należą do narodów praktycznych — wojna skończyła się, czas przejść do problemów aktualnych, które przynosi życie. A życie jest wielorakie, bujne i żywe, nęci rozkoszą pokoju, radością budowy i tropieniem nowych dróg człowieczych. Na mglistych wyspach dumnego Albionu brak papieru, podobnie jak u nas, ale coraz częściej w oknach księgarskich ukazują się powieści detektywiczne, popularne magazyny i broszury społeczne, rozważające nowe potrzeby Anglii. I coraz częściej widzi się książkę przepasaną wstęgą z nadrukiem „ta powieść nie mówi nic o wojnie". Właśnie Anglicy nie chcą słyszeć o wojnie. Niedawno popularny tygodnik „Spectator" na marginesie poszukiwań za trupem Hitlera zauważył: „lepiej myśleć, że Hitler nie żyje". Dobrze uczynimy, pozwalając sobie na tę przyjemność, bo jakkolwiek świat jest bardzo zły pod wieloma względami, w każdym razie jest przynajmniej światem bez Hitlera".

Świat z Hitlerem to znaczy katastrofalna straszliwa wojna, którą Anglicy podjęli z konieczności i od której, gdy już można, szybko się odwracają, świat ten należy już do przeszłości. Anglicy pożegnali się z bronią. Tematyka wojenna w angielskiej powieści stanowi już rozdział zamknięty. Nic więcej. Długonosy Tommy czy Bob z wielkiego Londynu chodzą na mecze piłki nożnej, entuzjazmują się głośnym w Anglii wynalazkiem rakiety, wyglądają pieniędzy z Ameryki od wujaszka Sama i pytają, czy u sąsiadów będzie także indyczka na Boże Narodzenie. Taka jest Anglia. Norymberga też ich przestała pasjonować, bo nie przynosi żadnej sensacji. Ot, po prostu, życie wkroczyło na normalne tory. Może i lepiej.

Ale wróćmy do angielskiej powieści. My Europejczycy, siedzimy po uszy w tematyce okupacyjnej. Hitler straszy na każdej stronicy. Leje się krew. Historia przeżyć okupacyjnych podnosi włosy na głowie. Obozy, obozy... skręca się strach. Anglia nie ma takich przeżyć, nie mą w ogóle wyobrażenia o europejskich okropnościach, bo nie przeszła koszmaru hitlerowskiej okupacji — zna bohaterskie zmaganie żołnierskie i takie też odtwarza na stronicach powieści.

Żołnierz na morzu, lądzie i w powietrzu — oto bohater angielskiej powieści czasu wojennego. Do tego przez karty powieści wieje wiatr szerokiego świata. Anglik ogarnia przeżyciami wojennymi cały świat, tocząc wojnę z hitleryzmem na wielu lądach i morzach.

Zacznijmy od gorących piasków Afryki. Po słońce południa — wołały dawne reklamy „Orbisu". Wyjeżdżamy — na drodze afrykańskiej biją salwy śmierci, praży upał, spływa krew. Robin Maugham napisał na ten temat powieść pt. „W proch się obrócisz". W skwarze tropikalnego słońca, w ogniu dział i na suchych piaskach pustyni toczy się opowieść o żołnierzach. Twardy jest los żołnierza, który walczy z wrogiem, a jeszcze groźniejszą pustynia. Piach afrykański przeżera nie tylko broń i skórę ludzką, każda chwila życia na pustyni wypełniona jest walką z żywiołem piasku i pragnienia. Pamiętacie „Tajemnice El Alemein". Anglicy wygrali walkę o Suez, ponieważ byli lepiej zaopatrzeni w wodę.

Następnym rozdziałem do chwały angielskiego oręża były walki królewskiego lotnictwa, zwanego krótko RAF. Pamiętamy podobne tematy w polskiej prasie konspiracyjnej. „Bomby na Berlin! — jakże waliło nam serce, gdyśmy czytali o wyczynach angielskich i polskich lotników nad niemieckimi miastami. Z jak zapartym oddechem słuchali śmy tajnych komunikatów radiowych, jakąż powagą sytuacji przejmowały melodunki o samolotach, które „nie powróciły do swych baz". Ale bywały brawurowe loty. „Zawsze powracamy" — tak brzmi tytuł powieści Jamesa Allana, który opisuje lot bombowców na trasie Anglia — Hamburg. Zręczne, efektowne opisy bombardowania, wartka akcja i ciekawe przeżycia bohaterów lotu składają się na dobrą całość powieściową.

Typem wojennej powieści awanturniczej jest książka Erika Williamsa pt. „Zablokowany". Bohater, oficer królewskiego lotnictwa, odbywa nalot na obszar Ruhry. W czasie takiego właśnie nalotu samolot został trafiony, oficer wyskakuje z płomieni i dostaje się do niewoli. Dalszy ciąg powieści przenosi nas do obozu jeńców. Nawiasem zauważyć trzeba, że nasz bohater należy do rzędu szczęściarzy, bo Niemcy najczęściej skoczków rozstrzeliwali. Ale mamy do czynienia... z powieścią. Więc nasz angielski bohater dostaje się do niemieckiego obozu jeńców. Poznajemy życie obozu. W stosownym czasie, aby nas nie znudzić, autor przygotowuje ucieczkę. 3 jeńców przekrada się przez druty obozu i udaje się w kierunku Szwecji. Barwne perypetie uciekinierów, ich przygody na terenie wrogiej Rzeszy stanowią najciekawszą część powieści. Oczywiście, ucieczka udaje się. Anglicy lubią dobre zakończenia na filmie i w powieściach.

Również epopei królewskiego lotnictwa poświęcona jest powieść pt. „Motor nawalił". Autor Arthur Browne, jak to już z tytułu książki wynika, opisuje przygody w czasie lotu. Mimo defektu motoru, a może dlatego, powieść posiada ciekawą akcję i umiejętnie wprowadza czytelnika w świat przygód pod znakiem śmigła.

A teraz inny rodzaj tematyki wojennej. Z kart książek dochodzą nas wiatry oceanów, w twarz biją słone bryzgi morza. Anglia zwie się słusznie „dumną królową mórz", choć ostatnio ustępuje miejsca bogatej Ameryce. Bohaterska walka z niemieckimi łodziami podwodnymi, konwojowanie transportów, połączone zawsze z śmiertelnym niebezpieczeństwem — oto najczęstsze opowieści literatury angielskiej. Najpopularniejsze miejsce zdobyła tutaj powieść pióra D. S. Forstera „Okręt". Akcja została osnuta na tle życia marynarzy brytyjskich.

Zwycięstwo prowadzi armię angielską od miasta do miasta, z lądu na ląd. Poszerza się skala zainteresowań, skala tematyki. Spółka autorska Muire i Tellemache podąża do Francji okupowanej. „Miraż" — tak się nazywa powieść, odtwarzająca bohaterskie zmaganie się z najeźdźcą. Tu już jesteśmy w domu. Jak dobrze znamy ponure lochy Gestapo, bohaterskie tajniki konspiracji i codzienną cywilną walkę z okupantem! Powieść odmalowuje galerie bohaterów, zorganizowanych w podziemnym Ruchu Oporu, i przedstawia trudne środowisko zdrajców spod znaku Vichy. Momenty wzniosłego heroizmu przeplatają się z wybuchem potępienia pod adresem sprzeniewierców. Powieść odtwarza żywą sugestię życia i walkę okupowanej Francji.

No, i już jesteśmy w Europie, w świecie Norymbergii, powojennych trosk i ciągle straszących koszmarem obozów koncentracyjnych. Anglicy pożegnali się z bronią, czas by i nam powitać tematykę lepszej przyszłości.

Franciszek Burczyński.

WŁADYSŁAW PAWLAK

Wieczerza wigilijna

Dzień wigilijny był pochmurny i przesycony wilgocią. Po kilkudniowym mrozie miało się na odwilż. W mieście ruch był gorączkowy, więcej nerwowy niż zwykle i każdy spieszył się nadzwyczajnie.

Kamińska, która tego dnia nie pracowała w fabryce, od samego rana wespół z Manią gruntownie wszystko czyściła i szorowała. Andźka za wdaniem się Zygmunta pogodziła się z rodziną i także się nie leniła. Nad wieczorem, kiedy Kamińska z Andźką przystąpiły do przygotowania wspólnej wieczerzy, Mania szorowała podłogę. Wszyscy, nie wyłączając dzieci, byli głodni, bo oprócz kawałka śledzia z chlebem, jaki rano zjedli, nic w ustach nie mieli, a teraz poczuli największe łaknienie. A najwięcej Heńka drażniły zapachy gotowanych potraw.

Zygmunt zniósł choinkę ze strychu, tydzień przedtem kupioną. Ze szwagrem powiesił ją między łóżkiem Mani a zasłoną i z pomocą Heńka stroili. Zawieszali cukierkami, orzechami, jabłkami i innymi drobiazgami ,wykonanymi przeważnie z różnobarwnego papieru. Najwyżej przyczepili dużego anioła. Często odrywali Manię od podłogi, zasięgając u niej rady, jak łańcuchem, sporządzonym ze świecącego papieru, spowić choinkę lub coś zawiesić, albo świeczki rozmieścić. Sama ona ciągle podnosiła głowę od podłogi i zdala przypatrywała się choince, ganiąc to lub tamto, a nawet Andźka i Kamińska od pieca spoglądały i mieszały się do ogólnego sporu nad przystrojeniem choinki. Kamińska niecierpliwiła się i naglila Manię, by się spieszyła, bo jeszcze i w korytarzu miała szorować przed ich drzwiami.

Dawno już ciemno było, kiedy z pracy powrócił Kamiński, wysoki, kościsty, o cerze ciała żółto-szarej, przesycony pyłem węglowym, który na zawsze wżarł się w jego skórę. Zaledwie się umył i przyogarnął świątecznie, by wyglądać tak jak wszyscy, kiedy Mania ustawiła stół między łóżkami, na brzeżku których mieli więcej miejsca do siedzenia. Andźka nakryła stół białą serwetą i pośrodku ustawiła talerz z opłatkami. Mania położyła każdemu łyżkę i widelec i z tą chwilą nastrój stał się świąteczny i uroczysty. Zygmunt zapalił świeczki na choince ku radości dzieci, które nie musiały siedzieć za szafą.

— No, do stołu — rzekła Kamińska.

Patrząc jedno na drugie i zachęcając się wspólnie, siadali. Najpierw Kamiński, zięć ze starszym dzieckiem, a Andźka z młodszym na kolanach, Zygmunt, Heniek i gdy już pierwszą potrawę Kamińska z Manią przed każdym postawiły, siadły i one, Heniek złapał za łyżkę

— Najpierw się opłatkiem przełamimy — rzekł Kamiński do chłopaka.

Podniósł się, wziął opłatek z talerza i zwrócił się do Kamińskiej:

— Życzę ci, aby my drugiego roku doczekali i tyż tak szczęśliwie się łamali... — był wzruszony, pocałował Kamińską w rękę, a ona, skubiąc mężowski opłatek odpowiadała:

— I jo ci życze tego samego i abyś był lepszy, jak do ty pory i mnij pił jak w tym roku.

Kamińska zwróciła się do zięcia a Kamiński do Andźki.

— A my winszuimy sobie, żeby my sie mni gniwali i winkszo zgoda mindzy nami była... pocałował Andźkę w rękę i zwrócił się do Mani.

— A tobie życze, żebyś się ożyniła, dopiero chłopa dostała i na drugi rok, tak jak i Andzia przy jednym stole z nami siedziała.

— Dziękuję tacie — rzekła Mania, całując ojca w rękę, a Kamiński ją w czoło.

— Tobie — mówił Kamiński do Zygmunta — życze, żebyś móg robote dostać. — Obaj pocałowali się.

— A ty, żebyś na wakacje szkołe skuńczył — życzył Heńkowi.

Wszyscy wzajem zgodnie wypowiadali swoje uczucia i pragnienia, jakie żywili dla swych najbliższych. Nastrój niemal kościelny, jaki zapanował początkowo, nikł. W mieszkaniu zazwyczaj ponurym powstał gwar i było radośnie. Andźka dała młodszemu dziecku grzechotkę na gwiazdkę, a starszemu pajaca. Babka jednemu cukierków, a drugiemu konika.

— Mosz tu te ksiunżkę, coś mnie o nium cały rok skamloł — podał Kamiński Heńkowi podarek.

— A i ty mosz — zwrócił się do Zygmunta, ofiarując mu nowe buty.

— A tobie, żeby nie było markotno, mosz tu towar na sukinke, żebyś mogła iś na wesele i żeby ta głupio Gienka nie wynosiła sie nad ciebie — mówiła Kamińska do Mani.

— Powstało jeszcze większe ożywienie. Kamiński nalewał wódkę w kieliszki i mówił do żony:

— Wszystkie coś dostali, tylko my nic.

— Uni młode, to niech sie nacieszum — odpowiedziała Kamińska.

Każde ujmowało kieliszek, tylko jedna Mania nie, udając zainteresowanie otrzymanym upominkiem.

— Wypij i ty roz przy wilii — rzekł ku niej Kamiński — jeszcze sie napatrzysz na to do syta.

Mania nie chciała pić wódki. Wszyscy w nią wpierali.

— O, głupia koza — mówiła Andźka — ni może to jednego.

Mania ujęła kieliszek, odwróciła się od stołu i krztusząc się i parskając przełknęła wódkę.

— I ty wypij — rzekł Kamiński do Heńka.

Rozpoczęli jeść pierwszą potrawę i w miarę jak głód zaspakajali, rozpoczynali jedno przez drugie mówić. I na ten jeden dzież izba przybrała wygląd gniazda rodzinnego.

— Powinno być dziewięć potraw — rzekła Andźka.

— I jak się z każdego chociaż trochę zostanie, to bez cały rok niczego brakować nie bedzie — mówiła Kamińska.

— Makiełki, jedno danie — liczył Heniek.

— Grzybki drugie — rzekł Zygmunt.

— Zupa śliwkowa trzecie, a kapusta z grochem czwarte! — zawołała Mania.

— Śledzie pięć — rzekła Andźka.

— Opłatki sześć — dodał jej mąż.

— Ryby smażone siedem — rzekł znowu Heniek a jeszcze dwie? — pytał.

— Chlib i wódka, to iu je wszystko, ile trzeba zakończył Kamiński.

— Za kim nima cini, tyn drugiego roku nie doczeka — rzekła Kamińska.

Każde się oglądało, ale nie tylko jeden, lecz po kilka cieni od lampy stojącej na szafie i świeczek choinki za wszystkimi się chybotało.

— Czy to prawda — pytała Andźka — że w studni o dwunastej zamiast wody jest wino?

— Prawda — odpowiedział Kamiński — tylko trzeba na tyn mument natrafić.

— To jakby tak pompować już chociażby pięć przed dwunastą i bez przerwy — mówił Heniek —, to możeby się i natrafiło.

— Pewnie — rzekł ojciec.

— To taka prawda, jak i to, że bydło o północy mówi ludzkim głosem — rzekł Zygmunt.

Powstała ożywiona rozmowa o zwyczajach świątecznych. Z wieczerzy nie wszystko zjedli i dużo kapusty z grochem i makiełek pozostało. Nie wstawali jednak od stołu.

— Zaśpiewamy jaką kolędę — rzekła Mania.

— Zaśpiewajmy — poparła młodszą siostrę Andźka.

Nim Heniek wyszukał kantyczki, „Bóg się rodzi" zaśpiewali z pamięci i poprzez okna kolęda płynęła na ulicę a przez drzwi na korytarz.

Z powieści „Kamienica wielkiego miasta.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Ludzie za kratą

O powieści Gojawiczyńskiej

Nieliczne są jeszcze pozycje prozy polskiej, powstałej w okresie 1939 — 1945 r. Twórczość literacka, przygnieciona nieludzkim brzemieniem okupacji, musiała z konieczności osłabić i zwęzić swój świat, kryjąc się w podziemiach przed nienawistnym okiem najeźdźcy. Nie znaczy to jednak, by pisarze polscy, którzy udrękę wojenną przecierpieli w kraju, zamilkli zupełnie i odłożywszy pióro na bok, czekali zrezygnowani lepszych czasów. Jak dowodzi ankieta, przeprowadzona przez redakcję tygodnika „Odrodzenie", w pamiętnym sześcioleciu napisano znaczną ilość utworów prozatorskich, które czekają do dziś dnia na pomyślniejsze warunki wydawnicze. Na razie, jedynie fragmenty tych utworów drukowane są w czasopismach literackich, lecz takie ułamkowe manifestacje osiągnięć twórczych nie mogą dać pełnego i jasnego wyobrażenia ważności dzieła.

Utwory prozatorskie, ujawnione już w całkowitej formie przed spragnionym nowej książki czytelnikiem, dadzą się dosłownie wyliczyć na palcach jednej ręki. Do tych wyjątkowych w obecnej chwili pozycji literackich należy „Krata" — Poli Gojawiczyńskiej, wydana ostatnio nakładem Spółdzielni „Czytelnik". „Kratę" drukował poprzednio w odcinku jeden z naszych dzienników co — jak mi się wydaje — nałożyło pewien stempel formalny na ogólny charakter i zewnętrzny wyraz utworu.

Podtytuł „powieść" jest raczej nieporozumieniem. Ani budowa całości utworu, ani jego zawartość treściowa, ani psychologiczne kontury bohaterów (ściślej: bohaterek) nie kwalifikują „Kraty" do rangi powieści. W danym razie, możnaby uzupełnić tytuł książki dodatkiem: „kronika więzienna", „zapiski więźniarki", lub czymś podobnym, — i to odpowiadałoby należycie rodzajowi i treści utworu. Oparty jest on bowiem całkowicie na motywach życia więziennego, na kobiecym Pawiaku w t.zw. Serbii.

Gojawiczyńska, jako autorka powieści „Dziewczęta z Nowolipek", „Rajska jabłoń", „Słupy ogniste" oraz licznych utworów nowelistycznych, znana jest dobrze polskim czytelnikom i zajmuje poważne miejsce wśród powieściopisarzy epoki przedwojennej. Twórczość Gojawiczyńskiej miała walory bystrej i rzetelnej obserwacji, dobrej znajomości odtwarzanych ludzi i środowisk, realistycznego i trafnego przejścia do tematu oraz umiejętnej i oszczędnej gospodarki elementami stylu pisarskiego. Wszystkie te zalety i wartości odnajdziemy w pewnej pozycji również w „Kracie", co nie znaczy jednak, by ten najnowszy utwór autorki „iZemi Elżbiety" nie wzbudzał zastrzeżeń.

Jeden z krytyków angielskich, omawiając nowe powieści o tematyce wojennej, słusznie zwrócił uwagę, że subiektywna potrzeba pisania o wojnie nie wystarcza, że potrzebny jest dar obiektywnego spojrzenia, a osiąga się to tylko przez szczególny stan uporządkowania wyobraźni, czemu sprzyja czas... Istotnie — czas, czyli dystans pomiędzy przeżyciem a aktem twórczym, umożliwiający należytą dojrzałość dzieła, jest w tych sprawach pisarskich czynnikiem niezbędnym, bodajże decydującym.

Gojawiczyńska przedstawiła w „Kracie" bardzo żywo i sugestywnie życie kobiet Polek. Poznajemy gorzki smak i ponurą barwę tego istnienia „za kratą", tej kruchej i niespokojnej egzystencji, przeżywanej wstrząsami spadających znagła „transportów" i egzekucji. Jakżeż bliskie są nam te sprawy ludzi bezbronnych w ręku okrutnego wroga, jak głęboko i szczerze współczujemy wraz z autorką ich losowi, który wątlejszy jest od umarłego liścia!... Nasza reakcja uczuciowa, w której jest i ból i gniew i współczucie i nienawiść bezgraniczna dla gnębiciela, rozładowuje się wreszcie w krzepiącej pewności, że tego wszystkiego, o czym pisze Gojawiczyńska, już nie ma, że uswastykowany koszmar znikł by nie powrócić już nigdy.

Więźniarek na „Serbii jest cały tłum, falujący ciągłym przypływem i odpływem. Gojawiczyńska próbuje różnicować wielorakie postacie więźniarek, w wielu wypadkach nie bez artystycznego powodzenia. Ale w tym tłumie o zmieniającym się wciąż obliczu trudno się nie rozpłynąć i nie zgubić. To też niektóre z kobiet, traktowane mniej epizodycznie, uchodzą z zasięgu naszego poznania, spowite w sentymentalne mgiełki dawnych — dziwnie już nie aktualnych — romantycznych przeżyć. Inne znowu — otacza gęsty mrok tajemnicy, cień najgłębszej konspiracji, której celów i rodzaju nie chce nam autorka tłumaczyć, zacierając wyrazistość tego czy innego ludzkiego zarysu.

Nad głowami niemal wszystkich więźniarek rozpaliła Gojawiczyńska glorię niezwykłego bohaterstwa i poświęcenia, sprowadzając w ten sposób wyjątkowość do poziomu reguły. W czynach poświęcenia, ofiarności, altruizmu więźniarki prześcigają się wzajem, bez względu na swe właściwości indywidualne, poglądy, stopień inteligencji i zdolności odczuwania cierpień bliźniego. Wiemy wszyscy o bohaterstwie kobiety polskiej, zarówno w życiu więziennym, jak w wielu innych okolicznościach. Ale „Krata" nie ma być przecież jakąś niedzielną czytanką, lecz realistycznym obrazem więziennego bytu. O tym bycie pisze autorka: „Więzienie psuło ludzi... więzienie psuło charaktery..." Mimo to jednak procesy deprawacji i wykolejenia dusz ludzkich są w „Kracie prawie nie widoczne. Mamy tu za to nadmiar cnót patriotycznych. Sądzę, że należyty rozdział światłocienia ukazałby nam „Serbię" w prawdziwszym (jeśli chodzi o szczegóły) lecz w doskonalszym aspekcie, a to nie pozostało bez wpływu na pogłębienie ogólnej wartości książki.

„Krata" nie jest powieścią, ale nie jest też błahym reportażem na frapujące tematy wojenne. Niezależnie od wszelkich zastrzeżeń krytycznych „Krata" stanowi dokument pisarski, w którym zawarty został pewien wycinek rzeczywistości okupacyjnej.

Grzegorz Timofiejew

Wigilia

Kogo sprowadzisz do mnie, chwilo niecodzienna?
Kogo powitam dzisiaj na więziennym progu?
Zaskrzypiała bezsenna podłoga sosenna.
Przeszły kroki znajome, lecz nie ma nikogo.

Którzy jesteście w głębi palających kopalń
i miast świątecznych dzwonów macie stuk oskarda,
którzy wozicie wszystkie żyły swoje w snopach
do stodół obcej ziemi, którzy los swój hardo

znosicie dom, oddając na użytek wroga,
i wy, którzyście z kraju na tułaczkę wyszli —
witajcie najserdeczniej w moich smutnych progach
i bądźcie dzisiaj gośćmi, bodaj tylko w myśli.

Kto tam? Ktoś jeszcze jest. Poznaję przyjaciela.
Chce mówić z nami, lecz ma usta purpurowe...
I tylko krwią podpala ciszę, aż wystrzela
płomiennym krzykiem... Towarzysze, schylmy głowę!

* Więzienie przy ul. Szterlinga w Łodzi r. 1942.

KRYSTYNA WYRZYKOWSKA

W FABRYCE

Co się stało temu piecowemu? — szeptali zbici w gromadkę zdziwieni i zaniepokojeni jednocześnie. — Co mu się stało? Zawsze był taki spokojny i równy chłop, a dziś rzucił się na nas z gębą, jakby go zły pies ukąsił.

— A może to przez te święta?—powiedział któryś z odlewni — wiecie przecież, jak u niego jest, bida aż piszczy — w święta zawsze najbardziej to boli, może to go tak rozżarło?...

Spojrzeli po sobie uważnie, długo i bacznie tak, jakby od rozwiązania tej zagadki zależało Bóg wie co. Jakby to decydowało o ich losie, pracy, ba, przyszłości całej fabryki.

Pierwszy opamiętał się majster Grzelak. — Chłopaki! do roboty. Szkoda czasu po próżnicy marnować. Roboty huk, a my tutaj jęzorami melemy jak baby. Przyjdzie pora, to pogadamy. — Franek! Fran—! smyku jeden! gdzieś szczypce zapodział. Skaranie boskie z tymi szczeniakami, więcej z nimi kłopotu jak pomocy — zrzędził, — ale chłopcy wiedzieli, że gada tylko tak przez przekorę. W gruncie rzeczy był ich najlepszym opiekunem i przyjacielem.

Rozchodzili się powoli. Każdy do swojej roboty. Rozcierali zgrabiałe od zimna ręce i przytupywali zziębniętymi nogami. W powietrzu unosiły się białe kłęby pary powstał- z wydechów ludzkich, świadczących wyraźnie o niskiej temperaturze hal fabrycznych.

Było zimno. Na dworze 15-sto stopniowy mróz wybielił dachy i szyby o-] w przedziwną, wzorzystą mozaikę. Wewnątrz fabryki sini od zimna robotnicy daremnie starali się rozgrzać zlodowaciałe członki żwawym przytupywaniem.

Nic nie pomagało. Nie było węgla. Ten i ów zaklął nie raz głośno — ale roboty nie rzucał. Jakżeż to? — dlatego, że zimno?

Dopiero dziś ten piecowy. Jak to on powiedział, zaraz... zaraz... Że niech to wszystko piorun strzeli, a on idzie do domu i już, że tydzień temu miał być węgiel, a tu święta nadeszły i węgla jeszcze nie ma, że Antek zamiast pilnować transportu, pije pewnie w każdej knajpie po drodze itp.

— I poszedł stary wariat, akurat właśnie dziś, w samą wilię poszedł. Wyleia — z pracy, to pewne, a i nieprzyjemności mieć może — bo jakżeż to, pracę rzucać, teraz, kiedy roboty najwięcej, przy końcu roku?...

Zgnębieni, poddenerwowani i niespokojni, spieszyli się gorączkowo do domu. Wszak to dziś wilia. Pierwsza wilia w domu, po tylu latach wojny, więzienia i obozów...

— Grzelak! — pytali co chwilę — daleko jeszcze do fajerantu?

— A pamiętajcie, przyjdźcie do nas na święta — zapraszali — na tego śledzia kartkowego z cebulą. Przyjdziecie — dobra?

Ostry gwizd syreny napełnił halę szumem i tupotem niespokojnych nóg. Spieszyli do domu, ciepła, pełnej, świątecznej miski i suchej, czystej koszuli.

Rozpogodziły się twarze, rozchmurzyły czoła. Wypłata! A może przyłożą co na święta?...

Tylko ten piecowy? — szkoda chłopa, ciężkie miał życie, a i teraz nie lekko, może on tam źle nie chciał, nerwy go tylko poniosły, — mówili między sobą, gdy wtem ktoś zawołał: — Chodźcie do piecowego, nie można człowieka zostawić samego w święta, on tu tylko tak z nerw napyskował, ale się opamięta, jak mu się przemówi do rozumu.

— Tak,tak, chodźmy. Przyprowadzimy go tu, zanim dyrekcja się dowie, to równy chłop.

Gdy wtem zaskrzypiały ciężkie, okute drzwi hali i na progu stanął piecowy. Wyglądał strasznie. W tym samym mokrym ubraniu, w jakim przed godziną opuścił fabrykę, zmarzniętym teraz na kość, bez czapki, z twarzą bladą i złą.

Podniósł głowę, poruszył wargami, ale nie wyrzekł ani słowa. Teraz dopiero poznali, że dzieje się z nim coś niedobrego. Co ci, powiedz, stało się co?— dopytywali się zaniepokojeni.

Wtedy to podniósł zaciśnięte pięści i potrząsając nimi ponad głowami towarzyszy zawołał: — Co mi jest? Słuchajcie! Nie będzie węgla, nasz transport rozbity, węgiel skradziony, a Antek... nie żyje! Chcieli zatrzymać fabrykę, zmusić nas do strajku, ale przeliczyli się — nie damy się! Chłopcy! — idziemy do dyrekcji, niech depeszują do Katowic po węgiel, zara, tym razem pojadę ja!

— W wilię?... szepnął ktoś. — Tak, w wilię! Węgiel musi być i to jak najszybciej, inaczej fabryka stanie. Pojadę i przywiozę, żeby tam nie wiem co. —

Rękawem bluzy otarł czoło, na którym teraz pomimo mrozu lśniły drobne kropelki potu i głosem cichym już i łagodniejszym dodał:

— Trza przecie naprawić to, co się napyskowało, no nie?

I wiec oświatowy OM TUR

Dużo mówiło się i pisało na temat oświaty robotniczej.

Dotychczas jednak wszystkie te dyskusje prowadzone były bądź to na łamach prasy, bądź też na zebraniach wewnętrznych organizacji robotniczych. Nie miały więc charakteru oficjalnego, nie wysuwały konkretnych planów. Robotnik mając otwartą drogę nawet do uniwersytetu, nie mógł mimo najlepszych chęci przekroczyć progu gimnazjum z powodów zasadniczych: braku kwalifikacji naukowych.

By sprawę oświaty robotniczej i właściwego utorowania drogi do szkół wreszcie zrealizować, OM. TUR Łódź-Bałuty zorganizowała na dzień 16 bm. pierwszy wiec oświateowy.

Prócz licznie zgromadzonych Turowców, robotników i sympatyków oświatowego ruchu robtniczego, na zjazd przybyli przedstawiciele władz szkolnych, miejskich i partii robotniczych oraz organizacji oświatowo kulturalnych.

Z ramienia WK. PPS mówił tow. Salski. Po omówieniu dróg i metod oświatowych wśród robotników, położył szczególny nacisk na szkolenie fachowe, zawodowe, gdyż odbudowujący się kraj potrzebuje i to bardzo pilnie młodych roboczych fachowców-specjalistów.

Dłuższe przemówienie wygłosił przedstawiciel Społecznych Uniwersytetów Powszechnych tow. Mrówczyński. Zaproponował w imieniu SUP-u takie zorganizowanie akcji oświatowej wśród młodzieży pracującej, by młodzież ta mogła utorować sobie drogę do bram uczelni nie tylko średnich, ale i akademickich. Postanowion— więc na wzór szkół regularny—i wprowadzić systematyczną naukę, objętą programem i pewnymi normami z tą różnicą, iż ten sam program, który w szkole obejmuje dwa, albo nawet trzy lata, tutaj przerabiany będzie wciągu jednego tylko roku.

Kurs pierwszy więc, tzw „wyrównania poziomu" przygotowywać będzie robotników w zakresie małej matury. Ci więc, którzy ukończą kurs „wyrównania poziomu" będą mieli prawo uczęszczania do liceum, w którym nauka trwać będzie znów tylko jeden rok. Po ukończeniu kursu licealnego abiturienci będą kierowani do Szkół Akademickich, na wydziały specjalne, jak do Szkoły Nauk Politycznych, Politechniki, Wyższej Szkoły Handlowej itp.

Spotkania po wojnie

W masach drzemią talenty

mówi mistrz sceny polskiej Aleksander Zelwerowicz

Umówiwszy się z dyr. Zelwerowiczem w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, przychodzę punktualnie o dwunastej.

— Próba mimiczna — oznajmia szeptem woźna. — Ale dyrektor kazał prosić.

Korzystam z tego skwapliwie. Piękna sala w b. pałacu Poznańkich zatłoczona jest gośćmi. Na estradzie grono słuchaczów P. I. S. T.-u wykonuje scenki mimiczne. Są w ubraniach treningowych, zaś za aksesoria sceniczne służy parę krzeseł, kanapka i stolik. Już po chwili jest się całkowicie pochłoniętym życiem, werwą i inteligencją, przebijającym z każdego ruchu młodych adeptów sztuki scenicznej. Mimo woli poczynam podpatrywać każdy ich najdrobniejszy gest, każde drgnięcie muskułu w twarzy i muszę wkrótce stwierdzić z głęboką prawdziwą radością: tu rośnie i krzepnie rzeczywiście przyszła plejada aktorów, prawdziwych artystów. Szukam wzrokiem dyrektora Zelwerowicza. Za szeregami widzów stoi oparty o odrzwia przyległej sali i patrzy... Po spokojnej wyrazistej twarzy przemyka raz wraz to wesoły uśmiech, to wyraz pobłażania, to skupiona uwaga. Brwi unoszą się bądź pytająco, bądź ściągają się w poważną linię zamyślenia. Nauczyciel bada i ocenia swych uczniów. To są latorośle szlachetnego wina, które hoduje troskliwie i otacza baczną opieką niby dobry ogrodnik.

Pokaz dobiega wreszcie końca. Dyrektor dostrzega mnie i przyjaźnie kiwa ku mnie głową. Po chwili siedzimy w bocznym pokoju i Aleksander Zelwerowicz opowiada mi o swych przeżyciach wojennych.

— Rok 1939... Byliśmy wszyscy w Teatrze Narodowym. Garść ludzi, dla których miejsce ich pracy było wszystkim. Gdy Narodowy spalił się, musieliśmy przejść do hallu Teatru Nowego, a później do podziemi Opery Warszawskiej. Przeżyliśmy tam całe piekło oblężenia aż do kapitulacji Warszawy.

— A potem?

— Potem różnie to było. Zazwyczaj ciężko i źle, ale jakoś się brnęło. Wreszcie 1 czerwca 1940 r. wylądowałem na wsi pod Grójcem w majątku. Latem byłem polowym i muszę sam sobie przyznać, że spełniałem moje zadanie wcale nieźle, a zimą, w kożuchu i butach, sprawowałem obowiązki dozorcy w oborze. Byłem przy krowach i szczerze powiem, że można się do nich przywiązać: są to stworzenia poważne i dobre. Pracowałem tu do lutego 1941 r. poczem zostałem kasjerem w Domu Inwalidów w Oryszewie. Przepracowałem tak całe cztery lata. Nie lubiłem tego zajęcia, nie, ale za to miłe wspomnienia pozostały mi z innego: objeżdżałem dwory jako kwestarz.

— Niby „ksiądz Robak"?

— Troszkę chyba tak! — uśmiecha się dyrektor na poły smutnie, na poły ironicznie. — Zbierałem dość dużo. Niestety, w lipcu Niemcy wyrzucili nas z zakładu wszystkich i znów musiałem szukać pracy. Znalazłem ją w pobliskim majątku, byłem pomocnikiem ekonoma i znów dozorowałem obory. Trwało to aż do powstania. Zgłosiłem się następnie do R. G. O. i prowadziłem przytułek dla bezdomnych starców z Warszawy. Gdy tylko było można, 9-go lutego, pojechałem do Lublina. Wrzało tu już życie. Spotkałem kolegów, znalazłem natychmiast kontakt z teatrem, zorganizowałem koncert i wkrótce dostałem naznaczenie do Łodzi jako dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki Scenicznej. Przyjechałem tu 22 marca.



Rys. J. Janowski

Aleksander Zelwerowicz

— Jakież wrażenie jeżeli chodzi o narybek aktorski?

— Bardzo, bardzo dobry! — ożywia się Zelwerowicz. Mamy tu dużo elementu, który dawniej nazywano „z dołu". Dziś będzie u góry! Są zdolności, są zapowiedzi bardzo ciekawe. Zresztą eliminujemy naszych uczniów i mamy prawo obserwowania każdego przez pół roku. Jeżeli wykazuje zdolności — robi się dla niego wszystko. Chcemy szkolić jednostki naprawdę wartościowe. I takie mamy. Jest tu młody chłopak, dziecko wsi, natura refleksyjna, solidna, żądna wiedzy a przy tym jest to człowiek skromny i niezarozumiały. Jest też żona robotnika, jednostka warta trudu. Nawet do ról koturnowych, klasycznych, mamy kandydatów. Praca jest olbrzymia, ale mam głębokie przekonanie, że da świetne owoce. Dość powiedzieć, że na 40-ci osób 12 jest predysponowanych na prawdziwych aktorów. Ale wy, stykający się z robotnikami, ze świetlicami, wyszukajcie, podpatrujcie ludzi, a gdy będziecie mieli wrażenie, że warto pomyśleć o danym człowieku, kierujcie go do nas. Przecież w masach może gdzieś drzemać talent. Jedno mnie tylko niepokoi: tyle się mówi o demokratyzacji teatru, a tak mało uczęszcza doń właśnie tych, o których nam chodzi. Co do mnie, wpoję w moich słuchaczów przekonanie, że muszą służyć masom, że ich zadaniem jest zbliżenie i uprzystępnienie sztuki zwykłemu człowiekowi twardej, codziennej pracy.

Zelwerowicz mówi to spokojnie, dobitnie i z naciskiem. Widać, że o słuszności swych pojęć jest do głębi przeświadczony. Patrzę na mądre, poważne oczy, na ożywioną twarz, na srebrne włosy ponad wysokim czołem i nie mogę oprzeć się pytaniu:

— Ileż, dyrektorze, liczycie sobie lat?

— Sześćdziesiąt osiem do usług! — odpowiada pogodnie.

— No, to życzę wam stu! — odpowiadam z gorącym napływem serdeczności.

— Co znowu! Brr! — broni się machając komicznie rękami. — Tylko tyle, abym mógł pracować.

A jednak — niech nam żyje sto lat!

Z. P.

Następny 15 numer

„POBUDKI"

ukaże się po Nowym Roku z datą 6 styczeń 1946 r.

ROMAN MIERZECKI

Święta na obczyźnie

Już spadł pierwszy śnieg. Wystawy błyszczą się od ozdób choinkowych, sośniny i bieli śniegu. Nadchodzą najradośniejsze święta w roku, święta Bożego Narodzenia, kiedy cała rodzina zbiera się przy choince.

W ubiegłym roku w innym nastroju oczekiwaliśmy tych świąt. Przebywając na robotach przymusowych w Niemczech, w małej wiosce St. Marcin, tylko w marzeniach widzieliśmy wspaniałe wystawy świąteczne. Marzyliśmy o gwiazdce w gronie rodziny, o choince, o jasełkach i innych naszych zwyczajach świątecznych. Z tych marzeń powstała myśl: postanowiliśmy urządzić polskie Betleem.

W połowie listopada kilku kolegów, z pamięci,ze znanych sobie urywków jasełek stworzyło tekst. Teraz praca poszła w dwóch kierunkach: przygotowanie aktorów i przygotowanie techniczne. Trudności były olbrzymie, zarówno personalne jak i techniczne. Brak aktorów, brak reżysera, brak dekoratora, brak papieru, brak strojów, brak... słowem brak wszystkiego, prócz chęci i rąk do pracy.

Wiadomości o próbach rozeszły się wśród okolicznych Polaków lotem błyskawicy. W naszym obozie było nas około 150, w odległym o 7 km Kopfenbergu 500, u „baorów" pobliskich drugie tyle. Ich zainteresowanie dodawało nam otuchy — musimy stworzyć Polskie Jasełki.

Próby aktorów odbywały się codziennie po robocie. Równocześnie szyto stroje. Dostaliśmy kilka prześcieradeł miały to być tuniki królewskie, trzeba je było przystroić. Dla Heroda zdobyliśmy kawał czerwonego płótna. Trzeba było przygotować skrzydła dla aniołów, czar ne kostiumy dla diabłów, pancerze dla setnika i halabardników. Przygotowywano rekwizyty: korony, miecze, hełmy, halabardy, widły dla diabłów, kosę dla śmierci. Robiono je ukradkiem, w warsztatach w czasie pracy. Wieczorem malowano dekoracje (trzy zmiany dekoracji na calą scenę. Materiały zdobywano z pod ziemi, ale było wszystko.

Przygotowania postępowały szybko naprzód. Było oczywiście moc trudności. Wszyscy byliśmy nowicjuszami. Nie raz zdawało się, że nie podołamy tej pracy. Ale chęć i upór kilku fanatyków dokonały swego. W niedzielę przedświąteczną — próba generalna. Stroje, rekwizyty, dekoracje już gotowe. Jeszcze drobne wykończenia, poprawki, organizacja samego przedstawienia, ogłoszenia, bilety i nadchodzi wigilia.

Skromna i smutna była to wigilia. W skupieniu zebraliśmy się wokół choinki i łamaliśmy się z braku opłatka, cudem zdobytą Hostią. Śpiewaliśmy kolędy i marzyliśmy o innych świętach.

Pierwszy dzień świąt — dzień wystawienia jasełek. Już od rana urządzamy scenę, zakładamy instalacje elektryczne, i choć alarmy kilkakrotnie nam przeszkadzają, o godzinie piątej wszystko jest gotowe na przyjęcie gości. Frekwencja była dość duża — około 500 widzów. Przeważnie oczywiście Polacy. Przybyli też jednak towarzysze pracy: Czesi, Francuzi, Włosi, Grecy, a nawet Anglicy (jeńcy wojenni.

Serdecznie witam gości na naszych polskich Jasełkach. Był to wstęp oficjalny. Oficjalny — bo wstępem właściwym była Modlitwa z „Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego.

„I Polskę daj nam żywą!" woła deklamator słowami poety. I znów, tam, 800 km od Warszawy pada okrzyk „nie zniosę już niewoli" i „zwyciężę na tej ziemi". Sala drży ze wzruszenia, a my za kulisami drżymy z emocji.

Wreszcie kurtyna odsłania się — widzimy pasterzy, na polu w nocy przy ognisku. Śpiewają, śpiewają po polsku! — Wrażenie olbrzymie. Sala podniecona wierszem — widzi grę polską — Polskie Jasełki i to gdzieś tam w Marcinie, tyle kilometrów od domu. Sala płacze i śmieje się z radości, słysząc polską mowę płynącą ze sceny, widząc naszych pastuszków, ubranych w stroje, przypominające stroje narodowe. Te łzy były dla nas najlepszą zapłatą za pracę, włożoną w Jasełkę.

Takie były nasze święta na obczyźnie.

DZIECI CZYTAJĄ

Z stałych wydawnictw dla dzieci ukazują się cztery tygodniki: „Przyjaciel" dla dzieci starszych, pod redakcją Haliny Koszutskiej. „Świerszczyk" dla dzieci młodszych, pod redakcją Wandy Grodzieńskiej, wydawane przez Spółdzielnię Wydawn. „Czytelnik". Związek Nauczycielstwa Polskiego wznowił wydawanie przedwojennego „Płomyka" wraz z „Płomyczkiem", obecnie redagowane przez ob. Tropaczyńską Ogarkową. Współpracują z tygodnikami najcelniejsi autorzy, tak że zarówno pod względem treści, jak i programowego doboru tematów, przedstawiają się bardzo ciekawie i pożytecznie. Kolorystyczne i zajmujące obrazki i rysunki, zabawnie ilustrujące wierszyki i powiastki uzupełniają dobrze treść. Zatym tygodniki dziecięce przedstawiają się interesująco i wartościowo. Wymienić trzeba też stały dodatek niedzielny „dla najmłodszych" w Dzienniku Łódzkim.

Gorzej jest z książkami. Dotychczas ukazało się dopiero kilka małych powiastek nakładem „Czytelnika": „Spełnione marzenie" Haliny Koszutskiej, „Lech, Czech i Rus" Ewy Szelburg Zarembiny, „Najprawdziwsza bajka" Wandy Grodzieńskiej i „Czołg porucznika Kukułki" Janiny Broniewskiej. Książeczki te znanych i cenionych autorek zostały po prostu rozchwytane, tak że obecnie przygotowuje „Czytelnik" nowe ich wydanie. Świadczy to najlepiej jak się podobały dzieciom.

Oprócz tych pozycji wydawniczych należy zanotować kilka czytanek szkolnych.

Dzieci czekają na nowe książki. Książka powinna być przyjacielem od najmłodszych lat, od kiedy tylko dziecko zdobywa wspaniałą sztukę czytania. Każda nowa ukazująca się dobra książka dziecięca przyczynia się do kształtowania wyobrażeń dziecka i kieruje małego czytelnika na drogę poznania, jakim bezcennym skarbem jest wartościowa książka.

Niesłuszny jest pogląd, że współczesne dzieci nie lubią książek fantastycznych lub bajek. Już przed wojną czyniono doświadczenia tego rodzaju i przekonano się w kołach pedagogicznych; że usuwanie baśni z lektury dziecka zmniejsza niekorzystnie rozwój wyobraźni dziecka. Skala zainteresowań w wieku dziecięcym jest bardzo szeroka, tak jakjak chłonna jest wyobraźnia młodociana. Jest w niej miejsce i na realistyczne opowieści, na tematykę współczesną, związaną z nowymi wynalazkami, sprawami społecznymi, z wydarzeniami w mieście i w szkole. Ale opowieść niezwykła, niecodzienna, pełna fantazji a zatym nawet niewiarygodna przygoda czy bajka będzie zawsze zachwycała dziecko, jak zresztą nie raz zachwyca ludzi dojrzałych. Najlepszym przykładem jest powodzenie rysunkowych filmów

Książki, które będą kształciły dziecko, uczyły je współżycia z ludźmi i z światem, ukazywały wynalazczość umysłu ludzkiego, wartość pracy, wpajały przyjaźń do zwierząt i przyrody, a zarazem cieszyły, zaciekawiały, rozbudzały wyobraźnię, książki takie będą spełniały swą ważną rolę.

Ludwik Świeżawski



reporter tygodnia

Zasadą każdej sztuki, czy to będzie muzyka, czy malarstwo, czy literatura — jest prawda. Zwłaszcza w teatrze nic tak nie razi, jak nieprawdziwość: sztuczność sytuacji, ludzie mówiący nieswoim językiem, wydarzenia, które dzieją się bez powodu, dowolne rozwiązania, podyktowane autorskim konceptem. Kiedy mówimy o prawdzie w sztuce, to nie mamy oczywiście na myśli dokładnej fotografii życia. Taka fotografia z konieczności objemowała by niewielki wycinek rzeczywistości, fałszując tym samym całość. Jeśli mówimy o prawdzie w sztuce, a o prawdzie w teatrze w szczególności, to mamy na myśli taką sztukę, w której autor, czy to muzyk, czy malarz, czy literat wypowiada się zgodnie z tą sumą doświadczeń historii i wiedzy o człowieku, która jest prawdziwa, która służy postępowi i rozwojowi człowieka, piętnując tym samym wszelkie wstecznictwo. Takim przykładem w dziedzinie teatru jest sztuka Adama Ważyka „Stary Dworek".

Sztuka Ważyka jest współczesną. Na scenie dzieje się fragment nowej polskiej historii. Sprawa toczy się w roku 1944 we dworku ziemian Stanickich.

W tej wojnie ludzie w Polsce walczyli nie tylko o Polskę. Walczyli albo o Polskę stanowych przywilejów, albo o Polskę ludową. Innych możliwości nie było. Zapytanie młodego Stanickiego, właściciela majątku, świadczy o przewodnim motywie całej sztuki Ważyka: „Dlaczego to musi tak być, że jak ktoś się bije z Niemcami, to od razu przychodzi mu ochota wypędzić mnie z mojego dworu?" Matka Stanickiego, gdy mówi o wojnie i jej przyszłych wynikach, sięga do starej przepowiedni, stwarza jakąś mitologię na użytek ginącej warstwy ziemiańskiej. Żona Stanickiego, córka ziemiańska, ale swoimi architektonicznymi studjami związana z inteligencją, wyłamuje się spod solidarności kastowej i bierze udział w walkach Alowców z Niemcami. Ale czyni to nie tyle z pobudek ideowych, ile raczej z wyrzutów sumienia, raczej dla podkreślenia swojej odrębności. Dialogi Galińca, alowskiego oficera-inteligenta z mieszkańcami dworku, to rozmowy, jakie słyszano w tym czasie w kraju. Sztuka Ważyka jest polityczna, lecz autor przedstawia sytuację zgodnie z objektywnym poglądem na historię tych dni. Słyszałem wiele zarzutów. Mówiono, że jest to sztuka tendencyjna. Cóż robić? Okazało się zapewne dla tych, którzy są tego zdania, że i historia jest tendencyjna. Takie były fakty a trudno, by pisarz uczciwy prowadził politykę strusia.

Jest rzeczą godną pożałowania, że „Stary dworek" nie został dotąd wystawiony.

ph.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

Na odbytym posiedzeniu Sądu Konkursowego, w składzie: tow. tow. Eugeniusza Ajnenkiela, Jana Piotrowskiego, Grzegorza Timofiejewa i przedstawicieli Wydziału Propagandy WK. PPS. w Łodzi, po rozpatrzeniu materiałów, nadesłanych na „Konkurs piosenki, satyry i dowcipu z czasów okupacji", ogłoszony przez Wydział Propagandy WK. PPS. w Łodzi, w 3 numerze „Pobudki" z dn. 14 października br., postanowiono przyznać nagrody:

W kategorii piosenek i wierszy:

Nagrodę I w wysokości 500 zł — otrzymał Zdzisław Śliwiński, Warszawa-Praga, Ząbkowska nr 6.

Nagrodę II w wysokości 300 zł — ppor. Józef Marczyk, Łódź, Sandomierska 3.

Nagroda III nie została przyznana nikomu.

W kategorii utworów satyrycznych:

Nagroda I — 300 zł — Bronisława Kordecka, Łódź, Braterska 22a.

Nagroda II — 200 zł — Helena Dybowska, Łódź, Krośnieńska 16.

Nagroda III —100 zł — Artur Borzym, Warszawa, Al. Niepodległości 152.

W kategorii dowcipów:

Nagroda I 200 zł — Leszek Malański, Łódź, Stefana Okrzei 28.

Nagroda II — 10zł — Tadeusz Brzechwa-Bernaś, Łódź, Piotrkowska 151.

Nagroda III i IV —po 100 zł — Zdzisław Śliwiński, Warszawa-Praga, Ząbkowska 6 i Bolesław Ćwieciński, Warszawa, Saska Kępa, Lipska 12.

Nagrodę V — 100 zł — drogą losowania otrzymała Zofia Sztilenwerk, Ozorków, Polna 2.

Nagrody uczestnikom mieszkającym poza Łodzią,wysłane zostały drogą pocztową.

Tow. Marczyk, Kordecka, Dybowska, Malański i Brzechwa-Bernaś — proszeni są o odebranie swych nagród w Wydziale Propagandy WK. PPS., Stefana Jaracza 45, w sobotę, dn. 22 grudnia br.,

---

Na radzieckim ekranie

Jedną z najbardziej popularnych radzieckich aktorek filmowych jest młoda gwiazda, Ludmiła Celikowska, tak ze względu na doskonałe warunki zewnętrzne jak i talent oraz piękny głos.

Polskiej publiczności Celikowska znana jest dotychczas z dwóch fil-



Ludmiła Celikowska

mów: „Antoni Iwanowicz gniewa się" oraz „Iwan Groźny". Wkrótce ujrzymy ją filmach: „Cztery serca" oraz „Skrzydlaty dorożkarz".

Zwróciliśmy się do pięknej gwiazdy z prośbą o udzielenie wywiadu dla publiczności polskiej. Ludmiła Celikowska opowiedziała nam dzieje swej kariery aktorskiej.

Moja biografia aktorska rozpoczyna się od lat dziecinnych. Pochodzę z rodziny muzyków. Ojciec mój był dyrygentem, a matka śpiewaczką. Od szóstego roku życia uczęszczałam do szkoły muzycznej.

Mając lat siedem debiutowałam w operze dla dzieci.

Mając lat 10 grywałam w orkiestrze na instrumentach dętych.

W szkole bywałam często karana za bujny temperament i nagradzana za artystyczne czytanie rosyjskich klasyków.

To zdecydowało o mojej karierze. Od 1938 r. uczyłam się w studio teatru Wachtangowa, które ukończyłam w r. 1941, otrzymawszy popisową rolę Wiery w sztuce Gorkiego „Ostatni". Występowałam też w filmach, głównie zaś w komediach muzycznych.

W „Iwanie Groźnym" grałam rolę Anastazji, pierwszej żony cara. Ogromny kunszt i mistrzostwo reżysera Eisensteina były dla mnie doskonałą szkołą i dały prawdziwe zadowolenie artystyczne, którego nie mogło przyćmić nawet filmowanie sceny w trumnie, w której musiałam leżeć przez kilka dni.

S.

PRZYGODY JASIA

Każdy kogoś ma bliskiego
Jaś, rzecz prosta, w samotności —
Więc niezmierna była radość
Gdy kot chociaż przybył w gości.



Jaś zastawił sutą ucztę —
Śledź, opłatek, kartofelek,
Wkrótce i choinka błyśnie —
Będzie uczta z przyjacielem.



Przyjaźń jednak jest wątpliwa —
Trudno tu nie przyznać racji —
Bo nim Jaś zapalił drzewko
Kotek był już... po kolacji!

A-zet



SZPILECZKI

Była kura, siedząca wciąż na jednej grzędzie
Był polityk, co tylko państwo miał na względzie
Był urzędnik, co tylko tydzień badał sprawę
Był B.O.S., co odbudował w dziesięć lat Warszawę
Był paskarz, co nie jeździł swoim samochodem
Był też knajpy właściciel, co przymierał głodem
Był uczciwy znalazca, co chciał zwrócić zgubę
Był karykaturzysta, co chwalił Zarubę
Była szkoła, co węgiel dostała na zimę
Była panna współczesna, co ma jeszcze hymen
Był bimbiarz co swój bimber zgłosił na milicji
Był autor kiepskich wierszy, co nie miał ambicji
Był urzędnik państwowy, żyjący z poborów
Była żona, co nigdy nie miała humorów
Były mowy na wiecach, mądre i treściwe
Były rządy sanacji, dobre i uczciwe
Wszystko to bardzo ładne, wszystko to być może
Ja jednak to, niestety, między bajki włożę.

H. Szabłowski



Rys. K. Baraniecki

— Skąd Pani wzięła takie drobne kuleczki?
— Jakto skąd, a kartofelki przydziałowe...

Prenumerata „Pobudki" (wraz z odnoszeniem do domu) miesięcznie zł 12, kwartalnie zł 35.

CENY OGŁOSZEŃ. Drobne: za wyraz petitowy poza tekstem 5 zł. Inne ogłoszenia: za milimetr — szpaltę poza tekstem zł 14.—, w tekście zł 21.—

Redagują: Z. Mitzner, G. Timofiejew, H. Wachowicz. Wydaje Wojewódzki Komitet PPS w Łodzi.

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska 68, front II p. tel. 112-54. Godziny przyjęć 11—13 i 16—18. Rękopisów nie zwraca się. Składano w Druk. Książka. Odbito w Druk. „Czytelnika" w Łodzi, Żwirki 2. D-06096